Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

WIR ŚWIATA

tygodniowa rewja prasy

Nr. 11 — CENA 40 gr.

WARSZAWA 1-VII-1934 R.

DZIŚ W NUMERZE:

Locarno Wschodnie a Polska

Demarche w Berlinie i Warszawie

Wiadomo, że trzy państwa bałtyckie Estonja, Litwa i Łotwa przeprowadziły rokowania w sprawie paktu politycznego i gospodarczego, analogicznego do paktu Małej Ententy, i że podpisanie tego paktu jest kwestją dni. Podczas swego przejazdu przez Berlin P. Litwinow skorzystał z wizyty w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, by powtórzyć Neurathowi propozycję raz już wysuniętą przez Moskwę, by zamienić ten bałtycki pakt wzajemnej pomocy na Locarno Wschodnie, do którego należałyby Niemcy, Polska, Z. S. S. R., którego one stałyby się nawet gwarantami i do którego Czechosłowacja mogłaby również przystąpić.

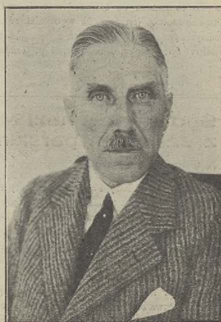
Mimo, że przyjęcie tej propozycji było jak najchłodniejsze, rząd francuski, który szczerze popierał ten projekt rosyjski, i któremu zależy na tem, by Niemcom wykazać, wbrew wszelkim insynuacjom, że wcale nie dąży do okrążenia ich, dokonał zarówno w Berlinie jak i w Warszawie demarche i położył szczególny nacisk na to, by propozycję tę przyjęto życzliwie i by ją w tym duchu przestudjowano tak w Berlinie, jak i w Warszawie.

Nie odnosi się wrażenia, by w Warszawie przyjęto z większym entuzjazmem, niż w Berlinie demarche francuskie, które jest, dodajmy, późniejsze, niż wizyta Goebbelsa i spotkanie w Wenecji. Sprawa jednak została postawiona zupełnie inaczej, aniżeli „polityka bloków", którą Mussolini i Hitler odrzucili podczas spotkania na Lido, a która nigdy zresztą nie była polityką Francji.

„Le Petit Parisien". Paryż.



Kanclerz Rzeszy Adolf Hitler



Wicekanclerz Rzeszy Franz v. Papen

Do art. na stronicach 4-ej i 5-ej.

Rozmowy bukaresztеńskie

W Bukareszcie sprawa Locarna Wschodniego posunęła się znacznie naprzód. Chodzi tu o doprowadzenie do porozumienia między Rosją a Małą Ententą, któreby umożliwiło oparcie pokoju w Europie Wschodniej na trwałej i silnej podstawie. Francja przystąpiłaby do tego paktu i w ten sposób pakt zabezpieczający pokój znalazłby swoje uzupełnienie w tem Locarno Wschodniem, do którego zdąża polityka zainteresowanych państw. Niemcy i Polska zostały zaproszone do przystąpienia do tego paktu.

Niemcy, mimo że zaproszono je w sposób przyjazny, nie biorą udziału w pracach przygotowawczych do tego Wschodnio-locarneńskiego paktu, i zajmują niczem nieusprawiedliwione stanowisko, jakoby ten pakt przeciw Rzeszy był skierowany. To twierdzenie jest tak absurdalne, że „Deutsche Allgemeine Zeitung", by usprawiedliwić zakłopotanie Wilhelmstrasse, musi uciec się do następującego wykrętu: Niemcy nie mogą wziąć pod uwagę przystąpienia do tego paktu, albowiem dominujące stanowisko, jakieby Rosji w nim przypadło, byłoby dla Włoch i Anglji nie do zniesienia.

Nasuwa się tylko pytanie, kto mianował Niemcy obrońcą Anglji i Włoch? Chodzi właśnie o to, by stworzyć jednolity front przyjaciół pokoju i przeciwników wojny, i tu właśnie czynnikom miarodajnym trzeciej Rzeszy trudno wyraźnie określić swoje stanowisko.

„Der Wiener Tag", Wiedeń

Przymierze polsko-francuskie zagrożone

Nazwijmy rzeczy po imieniu. Przymierze polsko-francuskie jest zagrożone, i to spowodu naszych wahań, naszej niepewności i naszych fałszywych pociągnięć. Pułkownik Regnot wykazał w świetnym artykule w czasopiśmie „Frontière", że błędy te datują od czasów bezpośrednio po wojnie. Szczegóły, które on podaje, na temat niektórych niezręcznych kroków z czasów misji wojennej, należy zapamiętać. Zbrodnicza polityka Brianda i jego następców pogłębiła nieporozumienia. Po okresie tarć, nieporozumień indywidualnych, wystawiania na próbę miłości własnej, nastąpił okres coraz większego niepokoju. Polska mogła odnosić wrażenie, że my zachowujemy zupełną obojętność w stosunku do niej. Był to najpewniejszy środek, by ją doprowadzić do rozluźnienia więzów, które łączyły ją z nami, i pchnąć ją do szukania swego bezpieczeństwa na innej drodze.

P. Barthou podczas swojej podróży w Europie Środkowej próbował wzmocnić nadwerężone stosunki. Przybył on, być może — widział, ale napewno nie zwyciężył. Nie naprawia się bowiem w dwa dni szeregu błędów, które popełniano w ciągu szeregu lat. Nieufność polska pozostała. Można było to stwierdzić w Genewie, gdzie płk. Beck okazał się obojętny wobec projektu francuskiego. Dodajmy, że perspektywy nowego przymierza francusko-rosyjskiego nie napełniają bynajmniej Polski entuzjazmem, co zresztą jest zupełnie naturalne. W Warszawie żywi się mniej złudzeń co do szczerości intencyj polityki rosyjskiej, niż w Paryżu. Towarzysz Litwinow tam nie jest tak narażony, jak u nas, na uznanie go za wielkiego człowieka.

Niemcy skorzystały z tych nastrojów. Rozegrały one swoją partję z powodzeniem, które tylko dziecko mogłoby kwestjonować. Nie wygrały one jeszcze stawki. Zgoda. Naród polski, a poznańczycy w szczególności, nie zapomnieli jeszcze przeszłości, która nie jest tak bardzo dawna. Lecz coraz więcej znajduje się u naszych sprzymierzeńców ludzi, skłonnych do słuchania głosu kusiciela, że Polska ma inne zadanie do spełnienia, niż być żołnierzem Francji, i że powinna ona prowadzić politykę niezależną.

Jest to stan umysłów niebezpieczny, a myśmy przyczynili się do jego rozwoju, jeżeli nie do powstania samego, przez naszą niedbałość i beztroskę. Najgorzej będzie, jeżeli nadal będziemy sobie zatykali oczy i uszy, pod pretekstem, że przykro jest patrzeć i słuchać. W stosunku do Polski niewiele błędów już Francji do popełnienia pozostało.

J. Delebecque.
„Action Française". Paryż.

Locarno Wschodnie

Fantazje p. Benesza o planach podziału Słowacji

Stała rada Małej Ententy zebrała się w Bukareszcie na czas od 18 do 20 czerwca i zakończyła swoje prace, w chwili kiedy p. Barthou przybywał do stolicy Rumunji.

Ten zbieg wypadków nie jest przypadkowy: nigdy jeszcze współpraca między Francją a Małą Ententą nie była tak ścisła i tak całkowita. Wynika to z komunikatu oficjalnego ogłoszonego po zakończeniu obrad.

Panuje całkowita zgoda w sprawie bezpieczeństwa, zbliżenia się do Rosji sowieckiej i polityki bałkańskiej.

Jeden cień tylko zawisł nad obradami bukareszteńskiemi: stanowisko Polski. P. Benesz wygłosił długie exposé na temat stosunków polsko-czechosłowackich, z którego wynika, że Piłsudski, zbliżywszy się do Niemiec i do Węgier, zamierza dokonać wspólnie z temi ostatniemi podziału Słowacji. Węgry i Polska miałyby w ten sposób wspólną granicę, podczas gdy Rumunja byłaby oddzielona od Czechosłowacji.

„Le Populaire“, Paryż.

W Niemczech o polskiej polityce zagranicznej

W wielkich zagadnieniach polityki międzynarodowej, dotyczących zarówno Polski jak i Niemiec, rząd Marszałka Piłsudskiego zachował wolną rękę. Sfery polityczne w Warszawie, które dążą do bezwzględnego oparcia się o Francję, nie ukrywają bynajmniej swojego z tego powodu niezadowolenia. Pokładają one obecnie wielkie nadzieje w przybyciu generała Debeney'a, który ma przeprowadzić rokowania w sprawie rewizji polsko-francuskiego przymierza wojskowego. Były minister spraw wojskowych generał Sikorski, wyłożył właśnie w niedawno ogłoszonej książce o przyszłej wojnie, w jakim kierunku ta rewizja miałaby pójść. Zdaje się jednak, że tezy jego są inspirowane z Paryża, a nie z Warszawy. Marszałek Piłsudski kładzie nacisk przedewszystkiem na to, by własne siły do swojej własnej mieć dyspozycji, a nie stać się narzędziem obcych interesów.

„Frankfurter Zeitung“, Frankfurt.

Gra, nie konstrukcja

Trzeba powiedzieć otwarcie. Jesteśmy zaniepokojeni rozwojem wypadków w polskiej polityce zagranicznej.

Niepokój nasz płynie przedewszystkiem ze świadomości, że polska polityka zagraniczna staje się coraz bardziej grą, a coraz mniej konstrukcją. Gra może dać wiele powodzeń i efektów, ale tylko wtedy, gdy się ma punkt oparcia i silne atuty w ręku. W przeciwnym razie staje się podobna do chodzenia po linie.

Jedynym pewnym punktem oparcia polskiej polityki zagranicznej, zdeterminowanym przez historję i geografję może być system sojuszów, któryby swą siłą i zwartością zapewnił trwałość pokoju i korzystnej dla Polski równowagi politycznej w Europie. Pisząc o takim systemie sojuszów, mamy na myśli blok państw, związanych wspólnym interesem dziejowym: Francja, Polska, Belgja, Mała Ententa, w oparciu o dobre stosunki z Rosją.

Gra, w której wszystko wciąż płynie i zmienia się, leży w interesie jednego tylko państwa, t. zn. Niemiec. Izolowane Niemcy mają tylko jeden cel: zburzyć obecną równowagę polityczną w Europie.

„A B C“, Warszawa.

Tajemniczość

Wenecja pozostaje tajemnicą i niewiadomo, czy ta tajemniczość wynika z tego, że obaj dyktatorowie nie zdołali dojść do porozumienia, czy też z tego, że porozumieli się za dobrze.

Warszawa otacza się taką samą tajemniczością. Nie wiadomo jak przedstawia się sprawa z przyjaźnią polsko-niemiecką i co za plany przygotowuje Prystor w Kownie. Czechosłowacja czuje, że to ją mają na oku, ale tu znowu solidarność Małej Ententy jest zupełnie wyraźna.

To co zmusza do zastanowienia się nad tą tajemniczością, jest fakt, że w obozie rewizjonistycznym przynajmniej jeden z protagonistów odkrył swoje karty, a mianowicie p. Gemboes.

„Le Jour“, Paryż.

Węgry niezadowolone

Rumunja, któraby dysponowała tylko terytorjum, jakie się jej historycznie należy, nie byłaby w stanie spłacać długów francuskich, ale i to jeszcze nie wystarcza, by mąż stanu uciekał się do falsyfikacyj aż tak brutalnych. Żaden Węgier nie może więcej wątpić, że jedynie Rzym i Berlin mogą stanowić oś polityki zagranicznej Węgier. Polityka francuska nie potrafiła się jeszcze wznieść na wyżyny objektywizmu, skąd można sądzić sprawy węgierskie sprawiedliwie.

„Fueggellenseg“, Budapeszt.

Marzenia włoskie a rzeczywistość

Na Bliskim Wschodzie i w Europie Wschodniej marzenia włoskie napotykają na twardą rzeczywistość: rozwód z Albanją, szybkie oddalanie się Turcji, rewolucja w Bułgarji i jej zbliżenie się do Białogrodu, przystąpienie Z. S. S. R. do systemu francuskiego. Wszystko to są drzwi, które się zamykają przed „kombinacjami“ tem milszemi, że miały jeszcze czar poetyczny orjentalnych planów Napoleona. P. Mussolini spisuje więc inwentarz tego, co mu jeszcze pozostaje. Z drugiej strony Hitler czekał swojej godziny: sądzi on, że nadeszła...

Jednak zdziwiłoby nas bardzo, gdyby Mussolini, w przystępie złego humoru, poświęcił swoją wolność decyzji i zrezygnował definitywnie z porozumienia francusko-włoskiego, którego korzyści nigdy nie lekceważył.

Le Jour“, Paryż.

Blok francuski od Bosforu do Władywostoku

Nie rozbrojenie, czy bezpieczeństwo, lecz zjednoczenie Europy pod egidą Ligi Narodów, czy rozbicie jej na bloki, jak w początkach roku 1914 — oto zagadnienie dzisiejszej polityki światowej.

Rzecz ciekawa, że sympatykami i obrońcami tej pierwszej tezy stali się nagle ci, którzy najwięcej przyczyniali się do jej dyskredytowania: Niemcy, które porzuciły dobrowolnie Ligę i Włochy, które nigdy nie przestały bruździć. Przyczyna tego nawrócenia się jest oczywista: wobec bezsilności Genewy, wobec faktu, że Anglja nie chce spełnić swojego zadania przy utrwalaniu zbiorowej solidarności państw, Francja poczuła się zmuszoną powrócić do dawnego, barbarzyńskiego, jeżeli się chce, systemu, który jednak ma ten plus, że przynajmniej konkretnie istnieje. Zarysowuje się blok francuski. Blok ten wzbogacił się nawet, bo sięga, z pewnem stopniowaniem nasilenia, do Bosforu, ba (a to bynajmniej nie jest najradośniejsze) do Władywostoku.

Francja powróciła do tych systemów dopiero po lojalnych i odważnych próbach, z których jedna lansowana przez Włochy (pakt czterech), postawiła pod znakiem zapytania najnaturalniejsze i najpewniejsze jej przymierze — z Polską.

Jeżeli nowy blok niepokoi pp. Mussolinich i Hitlerów, i to w tym stopniu, że Genewa przedstawia im się teraz w jaknajbardziej różowem świetle, jeżeli blok ten jest tak niemiły MacDonaldowi, że aż zaprasza Barthou do Londynu, to jednak ci wszyscy wielce szanowni oponenci powinniby zrozumieć, że Francja musi wszystko przedsięwziąć, by zmniejszyć swe straty i zawczasu odparować niebezpieczeństwa. Zbliżyła ona się do Moskwy po tem, jak oddaliła się od Warszawy. A jeżeli obecnie wzmacnia Małą Ententę, to czyni to dlatego, że za bardzo grożono jej zblokowaniem dokoła Berlina czy Rzymu wszystkich malkontentów z roku 1919.

„Le Jour“, Paryż.

Francja zyskuje na porozumieniu z Sowietami

Krytykuje się zwrot polityki francuskiej w stronę Rosji. Czy nie popełnimy nanowo błędów przymierza francusko-rosyjskiego? Takie pytania dają się słyszeć. Trzeba jednak dowieść, że przymierze francusko-rosyjskie było błędem.

Obecnie, nie puszczając cugli wyobraźni, należy przyznać, że przystąpienie Rosji komunistycznej do bloku państw zachowawczych przyniosło nam (Francji) do dnia dzisiejszego następujące korzyści:

1) za namową Rosji Turcja przystąpiła do bloku państw bałkańskich. Jej przyłączenie się do tej ligi, której celem jest utrzymanie status quo, oznacza, że na półwyspie południowo-wschodnim ani Bułgarja, ani nawet Włochy nie potrafią zakłócić pokoju i że Mała Ententa będzie miała wolne ręce w sprawach naddunajskich, którym będzie mogła poświęcić całą swoją energję;

2) niebezpieczeństwo od wschodu, jakie wisiało nad Czechosłowacją, Rumunją i Polską, zanika. Co do Polski, to trzeba jeszcze dodać, o ile ten kraj nie przyłączy się do przedsięwzięć rosyjskich pangermanizmu;

3) rosyjsko-niemiecka polityka Rapalla skończyła się. Rosja nie będzie więcej rezerwuarem surowców dla Niemiec;

4) na Konferencji w Genewie, w ostatniej jej fazie, nie jest rzeczą obojętną, że P. Litwinow podejmuje nanowo tezę P. Tardieu o bezpieczeństwie.

To są rezultaty już osiągnięte, albo do osiągnięcia w najbliższej przyszłości. W dyskusjach i sprzeczkach na temat stosunków z Rosją, nie wolno o nich zapominać.

Pertinax,
„Echo de Paris“.

Włosi pokpiwają

Francja dąży systematycznie do tego, by sobie pozyskać jaknajwiększą ilość przyjaciół i sprzymierzeńców, za wszelką cenę. Gdyby na księżycu mieszkały istoty do ludzi podobne polityka francuska nie zaniedbałaby tych bladych mieszkańców księżycowych, by i z nich wydobyć bataljony, któreby postawiła obok swoich wojsk kolorowych, coby zresztą stanowiło doskonały kontrast.

W każdym razie można z wielką dozą prawdopodobieństwa przypuszczać, że podróż p. Barthou do Bukaresztu i wojownicze przemówienia p. Titulescu nie zmieniają sytuacji ani na lepsze, ani na gorsze: napewno nie czynią jej bardziej poważną. Tezy antyrewizjonistyczne tych panów tracą wartość już przez sam fakt, że Mussolini wyraził się w słowach dość jasnych w Wenecji, że nikt nie ma zamiaru zrewolucjonizować mapy Europy.

Nie można się jednak oprzeć wrażeniu, że dyplomacja francuska przesadza. Quai d'Orsay przypomina tych fenomenalnych szachistów, którzy rozgrywają równocześnie 24 partje; jest to wspaniałe i zdumiewające, może się jednak zdarzyć, że ktoś mniej zrównoważony straci cierpliwość, i, by przyspieszyć wyzwanie, zacznie przewracać stoły i szachownice.

„Corriere della Sera“, Medjolan.

Spotkanie Ghazi Mustafy Kemala z szachem perskim

Niepokój w Anglji

Podróż szacha Rizy Pahlavi do Ankary rzuca nowe światło na zmiany, jakie dokonały się na Wschodzie w ciągu ostatnich kilku lat. Dwaj szefowie rządu, którzy się spotykają obecnie, są obaj sami kowalami swego szczęścia. Ich punkty wyjścia były zresztą różne. Mustafa Kemal odznaczył się swojemi czynami wojennemi, jako bohater nacjonalizmu tureckiego po zagładzie cesarstwa otomańskiego. Rhiza Pahlavi okazał wielkie zdolności organizacyjne i z oficera niższej rangi stał się najpierw dyktatorem, a potem założycielem nowej dynastji w chwili, kiedy poprzednia zaczęła wykazywać wyraźne objawy degeneracji. Obaj usprawiedliwili zaufanie, jakiem ich narody, ich obdarzyły, gorącym patriotyzmem i wielkiemi reformami.

Turcja i Persja zawarły najpierw w r. 1929 traktat, który położył kres napadom koczowników kurdyjskich. W 1932 zawarto traktat arbitrażowy. Następnie załatwiono dawne spory graniczne. Obecnie chodzi o znormalizowanie spraw gospodarczych i komunikacyjnych. Nie ulega jednak wątpliwości, że polityka zajmie główne miejsce w tych rozmowach w Ankarze.

Turcja Kemala posiada bardzo ruchliwą dyplomację. Była ona pośrednikiem między państwami bałkańskiemi, a Rosją Sowiecką. Nie jest nieuzasadnione przypuszczenie, że zamierza ona odegrać obecnie tę samą rolę między Moskwą a Teheranem.

Ta okoliczność jest przyczyną nieufności, jaką wykazuje Anglja wobec wszelkich kombinacyj politycznych, które mają na celu wyprowadzenie Rosji z izolacji politycznej. Aspiracje grup nacjonalistycznych na Wschodzie dotyczą równocześnie zagadnień nafty, zagadnienia dróg do Indyj, oraz zagadnienia rozwoju Indyj samych. Są to poważne troski, które nie pozwalają Anglji zająć się całkowicie zagadnieniami europejskiemi.

„Le Jour“, Paryż.



Błogosławieństwo wojny

Signor Mussolini, który właśnie dopiero co zapewnił italską Izbę, że „nie wierzy w wieczny pokój“, poparł te swoje słowa zdaniem, że „wojna jest dla mężczyzny tem, czem macierzyństwo dla kobiety“.

Wobec tego, że Duce coraz bardziej sprzyja macierzyństwu — może coraz więcej sprzyja wojnie...

Właściwie przydałby się „Ośrodek Wychowania Wojennego“, gdzie mężczyzn będzie się uczyło tworzenia większych i piękniejszych bitew. Obecnie mają skłonności do partactwa — pomimo mnóstwa rad i instrukcyj ze strony ludzi niezainteresowanych, jak naprzykład fabrykantów broni i rzeczoznawców wojskowych.

W doktrynie Mussoliniego o ogólnych obowiązkach mężczyzny i kobiety wyczuwa się tak piękną równowagę...

Więcej dzieci dla kobiet, więcej bitew dla mężczyzn; jedna strona dostarcza towaru, druga strona miażdży go na kawałki, kiedy podrośnie dostatecznie, aby warto było troszczyć się o niego.

„Manchester Guardian“, Manchester.

FASZYZM W ANGLJI

Wyznanie wiary faszystów angielskich

Z oficjalnego organu faszystów angielskich.

NIEWYCZERPANY MOSLEY

Wielka Brytanja nie jest wycieńczona, nie jest u kresu swoich sił. To panowie Baldwin, Mac Donald i Henderson są już wyczerpani i zużyci spowodu tylu nonsensów, jakie dotychczas popełnili.

Wielka Brytanja już nie spi. Mosley ją zbudził. Pójdzie ona dziś na wojnę, z tym samym zapałem, co w roku 1914 — jednak tym razem nie będzie to wojna za demokrację, tym razem stoczy ona walkę z rządem, który nie posiada autorytetu. Stworzy ona większą Wielką Brytanję, w której położony będzie kres mękom ofiar wojny i cierpieniom ofiar pokoju.

DO KOBIET

Kobiety! Jeżeli przystąpicie do naszego ruchu, znajdzie się praca dla was. Potrzebujemy kobiet do propagandy, kobiet zdolnych do pracy w naszych kantynach, kobiet, które potrafią układać i rozlepiać nasze afisze. Potrzeba nam młodych kobiet, które sprzedawałyby nasze książki, opiekowały się naszemi żłóbkami dziecięcemi. Jakiekolwiek byłyby wasze zdolności, jest dla was miejsce w ruchu faszystowskim.

WIELKĄ BRYTANJO OBUDŹ SIĘ!

Anglja liberalna zasypia, a ten sen stanie się wkrótce snem wiecznym. Jedynie faszyzm może podnieść żywotność i wskrzesić nadzieję Wielkiej Brytanji, zastępując chaos i nędzę radosną, dumą dobrze obmyślanego planu.

Sir Oswald Mosley głosi wiarę uniwersalną, lecz stosuje ją w sposób ściśle odpowiadający tradycji brytyjskiej i brytyjskim metodom. Jego powodzenie dowodzi jeszcze raz, że naród brytyjski nigdy nie omieszka odpowiedzieć na wezwania prawdziwego wodza w chwili niebezpieczeństwa i niedoli. Bankructwo demokracji oznacza koniec epoki, która zaczęła się wiek temu. Wypadki najbliższych lat pozostawią niezatarty ślad w naszych dziejach. Jest przywilejem żyć w takiej epoce, jak nasza.

Jesteśmy nietolerancyjni, i jesteśmy dumni z tej nietolerancji. Wielka wojna, jaką wypowiadamy socjalnej demokracji, wymaga od nas, byśmy się wyzbyli zupełnie wszelkiej idei kompromisu.

TROCHĘ POLITYKI ZAGRANICZNEJ

Wielkiem złem jest ta konspiracja, która wysila się, by nas pchnąć do wojny z narodem, który niczego innego nie pragnie, jak żyć z nami w zgodzie. Ma się rozumieć, każdy faszysta uważa śmierć za ojczyznę za przywilej. Brytyjczycy nie chcą jednak umierać za ideę, która byłaby mniej piękna, a najmniej już za idee koczujących wielbicieli złotego cielca.

„The Blackshirt", Londyn.

Dumne słowa o wolności brytyjskiej

Prawa Anglików do wolności słowa muszą być zachowane za wszelką cenę. To, mniej więcej, jest kwintesencją przemówienia ministra spraw wewnętrznych podczas ostatniej debaty parlamentarnej na ten temat Rząd może być pewny, że będzie miał tutaj za sobą przygniatającą większość całego społeczeństwa.

Zasada, o którą chodzi, nie ma nic wspólnego z żadną partją polityczną. Jest ona natomiast ściśle związana z Konstytucją brytyjską, której jest podstawowym filarem.

Siłą rzeczy entuzjaści pewnej sprawy, uważają,że tylko ich poglądy są zdrowe. Ale to bynajmniej nie jest jeszcze usprawiedliwieniem na zamykanie oponentom ust środkami nielegalnemi.

Jeżeli organizatorzy zebrań prywatnych przekroczą prawo, słowem lub czynem, — policja, a nie osoby cywilne, ani „armje prywatne" ma prawo wkroczyć. Złotą zasadą jest posłuszeństwo wobec prawa, a to jest zasada, której wzmocnienie należy pozostawić stróżom prawa. Jeżeli prawo nie dorasta do sytuacji, rząd zażąda od parlamentu, by je zmienił. Jeżeli ani rząd, ani parlament nie potrafią zadowolić opinji publicznej, wybory powszechne spełnią to zadanie.

Jedno pozostaje jasne, całemu systemowi rządów w Anglji grozi zagłada w chwili, kiedy wolno będzie jednej partji dyktować, kto i co ma mówić, a czego mówić nie wolno. Stronnictwo, które pokusiłoby się o taką władzę nad anglikami, może nazywać siebie jak chce, jego prawdziwem imieniem jest — tyranja.

Jesteśmy tak przyzwyczajeni do wolności, że wydaje ona nam się czemś zupełnie prostem i elementarnem. Jest ona taka, ale w wielu krajach, nawet wielkich, nie istnieje. W Anglji zaś istnieje, jako owoc poświęcenia i ofiar poprzednich pokoleń i dlatego Anglja jest dziś, ojczyzną wolności, gdzie każdy może, uprzejmie i prosto wypowiedzieć bez obawy swoje uczciwe zdanie.

Jest to cenne i sławą opromienione dziedzictwo, którego nie wolno lekkomyślnie stracić.

„News of the World" Londyn.

Anglicy nie będą tolerować bojówek

Mosleyizm — metoda dążenia do jawnie konstytucyjnych celów przy pomocy półwojskowej organizacji i bojówek, samochodów pancernych i sekcyj lotniczych i t. p. jest zjawiskiem zupełnie nowem w życiu politycznem Anglji. Jako coś zupełnie nowego jest on zjawiskiem, do walki z którem istniejący system prawny nie ma jeszcze gotowych środków. Jednak w Anglji żadna organizacja nie ma prawa istnienia, jeżeli aroguje sobie minimalne prawa do władzy, równoległej do władzy policji.

To jest najprawdopodobniej główny zarzut, jaki przeciętny obywatel stawia Mosleyizmowi. Jest to zarzut słuszny, i bez względu na to, czy będziemy działali szybko czy wolno, dobrze zgóry powiedzieć, że taka organizacja nie będzie tolerowana. Istnieje policja dla dobra wszystkich obywateli bez wyjątku. Zna ona swoje obowiązki i można na niej polegać, że spełni je daleko lepiej niż jakakolwiek siła prywatna. Jeżeli policja przekroczy swoje obowiązki, istnieją liczne środki prawne, by ją do karności i ładu przywołać. Żadnego zaś z tych dobrze sprawdzonych i wypróbowanych sposobów nie można zastosować do Sir Oswalda Mosleya i jego bojówek.

„The Manchester Guardian", Manchester.

Nie życzymy sobie zwycięstwa żadnej armji, prócz armji Jego Król. Mości

Zamachy i bójki są jeszcze wciąż w Anglji najgorszą metodą rozgrywki politycznej, jaką możnaby komuś polecić, i doprawdy wystarczy jeszcze kilka takich demonstracyj, jak w Olimpia, by ruch faszystowski zupełnie się skończył. Dlatego też żadna z trzech starszych partyj niema właściwie interesu w tem, by tego rodzaju publiczne manifestacje brutalności przerywano.

Zwyczaj uważania polityki, jako sprawy przekonań, jest jednak drugą naturą u nas, i bez względu na to, jaki jest cel polityczny, do którego się dąży. Lży się parlament, jako rozgadany kram, a demokrację jako powolną i głupią, — w każdym jednak razie najdłuższa i najsubtelniejsza mowa pozostawia obywatela wolnym człowiekiem w pełnem posiadaniu swych władz umysłowych i fizycznych, czego nie można powiedzieć o kopnięciu w brzuch.

Minister spraw wewnętrznych zamierza wydać ustawę, uchwaloną przez parlament, która nałoży na policję obowiązek utrzymania porządku w lokalu zebrania i nazewnątrz. Ważne jednak jest, aby policja nie miała prawa nie dopuszczać do odbycia zebrania, na tej podstawie tylko, że zachodzi obawa, by spokój nie został zakłócony. Wtedy bowiem niesforne elementy nie dopuszczałyby wogóle do przeprowadzania zebrań.

Pół Europy chętnie widziałoby zwycięstwo faszyzmu w Anglji, ale pół Europy doznałaby rozczarowania, albowiem my nie jesteśmy narodem, który potrafiłby znieść coś podobnego.

Kraj będzie się domagał, by silna ręka zniosła te bojówki. Być może, rację ma p. Baldwin, który twierdzi, że na wypadek walki bojówek, bojówka konserwatystów zwyciężyłaby. My jednak nie życzymy sobie zwycięstwa żadnej armji, prócz armji Jego Królewskiej Mości.

„The Sunday Times", Londyn.



Sir Oswald Mosley przemawia.

Cyrkowa fanfaronada

GŁOS MINISTRA KOLONIJ

Sir Philip Cunliffe-Lister, minister kolonij, przemawiając na „garden party" Junior Imperial League w Warren House, powiedział do swoich słuchaczy na temat czarnych koszul: Nie sądzę, że wam zaimponuje w jakikolwiek sposób fanfaronada cyrkowa pochodzenia zagranicznego, oparta na obcych wzorach. (Oklaski).

Dyktatura, nawet gdyby dzięki jakimś nadzwyczajnym okolicznościom zapanowała w Anglji, — na podstawie głosowania ludowego, albo dzięki ogólnej apatji, — nie utrzymałaby się przy władzy zapomocą siły. Technika pozostanie ta sama, niezależnie od tego czy to będzie dyktatura czerwona, czy czarna, czy też innego koloru.

Masy angielskie nigdy na coś podobnego nie pójdą. Pozatem sama myśl o takim ruchu jest tak obca naszemu charakterowi narodowemu i zdrowemu rozsądkowi, że szerokie masy narodu, siłą rzeczy uznały Sir Oswalda Mosleya za niepoważnego poszukiwacza przygód.

Być może, że klika Mosleya zdobędzie dla niego popularność, jaką on sam przy pomocy propagandy nigdyby nie osiągnął. W dziedzinie polityki kawały nie mogą jednak być brane poważnie.

„The Daily Telegraph", Londyn.

Megalomanja i okrucieństwo

GŁOS LABOURZYSTY MAJ. ATLEE

Za tym ruchem stoi nieodpowiedzialny magnat prasowy. Większość magnatów prasowych ma ustalone poglądy polityczne. Lecz kto wie do czego, zdąża lord Rothermere, prócz pieniędzy, oczywiście? Czasem jest on po stronie rządu, czasem przeciw niemu. Lansuje on taką czy inną sensacyjną bujdę.

Obecnie ukrywa się on za ruchem czarnych koszul.

Mosley jest wyraźnie antyparlamentarzystą. Mosley jest jawnym przeciwnikiem demokracji. Czasami jest on jawnym antysemitą. Jest on przeciwnikiem wszelkiej religji, bo on sam jest wszystkiem. Ten ruch zaopatrywany obficie w pieniądze, używa metod obcych, a na czele jego stoi zagadkowa figura, Sir Oswald Mosley.

Jest to człowiek o znacznej sile atrakcyjnej — człowiek o osobliwej strukturze umysłowej. Jest to napewno rodzaj megalomanji. Mam wrażenie, że w jego charakterze znajdują się rysy okrucieństwa, mam też wątpliwości co do jego równowagi umysłowej.

„The Daily Herald", Londyn.

Protest konserwatystów

Przypuśćmy, że antagonizm między konserwatystami a liberałami zaognił się, przypuśćmy dalej, że został wybrany parlament, w którym żadne stronnictwo nie ma trwałej, zdolnej do pracy większości, i przypuśćmy wreszcie, że faszyści, oparci o zmilitaryzowaną organizację bojówek, podejmują zaciekłą krytykę tego stanu rzeczy i walkę z nim, — czy w takich warunkach to wyimaginowane niebezpieczeństwo wciąż jeszcze będzie nieprawdopodobne?

Z manifestu podpisanego przez 100 członków parlamentu konserwatystów.

Pomagają komunistom

GŁOS WICEPREMJERA BALDWINA

Polityka faszyzmu jest pewnego rodzaju konserwatyzmem ultramontańskim. Zapożycza wiele zasad z naszego programu (konserwatystów) i sprowadza je do takiej konkluzji, że gdyby te punkty były urzeczywistnione, kraj nasz spotkałaby katastrofa.

Faszyzm zapożyczył od kontynentu jedną rzecz, która jest zupełnie obca duchowi angielskiemu, a mianowicie dążenie (które dzielą zresztą z komunistami) do zmiażdżenia opozycji i rządzenia metodami dyktatorskiemi. Ja nie należę do tych, którzy obawiają się komunizmu w Anglji. Komunizm może rozwijać się tam tylko, gdzie istnieją obok siebie największa nędza i cierpienie, społeczeństwo niewrażliwe na tę nędzę, i rząd, który nic nie przedsiębierze, by ulżyć ludności i polepszyć jej byt.

Odkąd pojawili się u nas faszyści można zauważyć wyraźny przyrost ilościowy komunistów. Mojem zdaniem nie oznacza to, że więcej ludzi przystępuje do partji komunistycznej spowodu przekonań politycznych, lecz kiedy anglik widzi walkę między dwoma stronnictwami, będzie on zawsze się skłaniał ku słabszej stronie. Rzeczywistem niebezpieczeństwem ruchu, który dąży do dyktatury, jest to, że może on doprowadzić w tym kraju do prawdziwej walki klas.

Pamiętajcie o tem, — choć jesteśmy od tego bardzo dalecy i mojem zdaniem nigdy do tego nie dojdziemy, — jeżeli ten kraj będzie podzielony między dwie armje, z których każda będzie dążyła do usunięcia siłą innej, będziemy mieli wszystko co będzie potrzebne do tego, by powtórzyły się czasy sprzed 300 lat — a mianowicie wojnę domową.

„The Sunday Times" Londyn.

Trzecia Rzesza na rozdrożu:

Przeciwko rewolucji permanentnej

Przemówienie wicekanclerza Rzeszy v. Papena

Otwarte i męskie wypowiedzenie się bardziej przystoi narodowi niemieckiemu, niż stan przygniatającej duszności, w jakim go utrzymuje prasa, o której sam minister propagandy wyraził się, że nie ma już własnego oblicza. Zarzut ten odpowiada niewątpliwie prawdzie. Zadaniem prasy ma przecież być informowanie narodu, dokąd wtargnęły braki, gdzie zagnieździła się korupcja, gdzie popełnia się ciężkie błędy, a na niesworch stanowiskach znajdują się nieodpowiedni ludzie, gdzie popełnia się grzechy przeciw rewolucji niemieckiej. Anonimowa lub tajna służba informacyjna nie potrafi nigdy zastąpić tych zadań prasy. Jeżeli jednak powołane organy opinji publicznej nie oświetlają tych mroków, wówczas mąż stanu sam musi zabrać głos i nazwać rzeczy po imieniu.

W OBRONIE CHRZEŚCIJAŃSTWA

Rozegra się również walka o to, czy nowa Rzesza będzie chrześcijańska czy też pogrąży się w sekciarstwie i półreligijnym materjaliźmie. Będzie to dość proste, jeżeli znikną wszystkie usiłowania władzy państwowej zdążające do pchnięcia kościoła w kierunku gwałtownej reformacji. Nie wolno się co do tego łudzić, narzucone walki religijne wyzwolą siły, o które rozbije się nawet przemoc. Powinny się również zastanowić te koła, które spodziewają się powstania nowych oryginalnych form religijnych, jak sobie wyobrażają spełnienie naszej misji politycznej w Europie, o ile dobrowolnie wystąpimy z rodziny narodów chrześcijańskich. Nie wolno nam zamykać się pod względem duchowym barjerą i dobrowolnie udawać się do getta. Niedostateczny, albo prymitywny intelekt nie upoważnia jeszcze do walki z intelektualizmem. I jeżeli uskarżamy się dziś na pewnych stupięćdziesięcio-procentowych narodowych socjalistów, to dzieje się to dlatego, że są to intelektualiści, zawieszeni w próżni, ci, którzy uczonym o światowej sławie, utrudniają istnienie, dlatego tylko że nie posiadają legitymacji partyjnej. Strzeżmy się przed niebezpieczeństwem wyłączania ducha z narodu i pamiętajmy, *że wszystko, co wielkie, z ducha się wywodzi*. I niech nikt nie oponuje, twierdząc, że ludzie ducha są pozbawieni żywotności. Pomieszanie pojęcia żywotności z pojęciem brutalności, oznaczałoby kult siły, który stanowi niebezpieczeństwo dla każdego narodu.

Nawet najbezwzględniejsza karność musi być uzupełniana pewnemi uprawnieniami wolnościowemi. Zastosowanie dyscypliny wojskowej w to sunku do całego narodu i wszystkich przejawów jego życia, musi być utrzymane w takich granicach, by nie sprzeciwiały się naturalnym skłonnościom człowieka. Wciąż mówi się jeszcze o powtórnej fali, która ma dokończyć rewolucję. Ci, którzy nieodpowiedzialnie igrają takiemi pomysłami, niech pamiętają, że za drugą falą łatwo przyjść może trzecia, i że kto gilotyną grozi, najszybciej pod topór kata się dostaje.

PRZECIWKO RZĄDOM JEDNEJ PARTJI.

Polityk i mąż stanu mogą reformować państwo, ale nie życie samo. Nie wszystko, co żyje, mozna organizować, albowiem można je łatwo zmechanizować. Państwo jest organizacją, życie jest czemś, co ciągle się rozrasta i rozwija. Dlatego państwo może najwyżej popierać daną koncepcję dziejową, ale nie może takowej stworzyć. Opiera się ona na ścistych badaniach, których ignorowanie mści się.

Kontrrewolucją przeciw rewolucji liberalnej z 1789 r. może być tylko konserwatyzm. Nie chodzi o to, aby uciskać jeden stan, — to oznaczałoby reakcję, — lecz o to aby przeszkodzić, by jeden stan zawładnął państwem i domagał się dla siebie wyłącznych praw. W tych bowiem warunkach, zatraca się wszelki porządek naturalny i boski. *Grozi rewolucja permanentna*. Państwo niemieckie znajdzie kiedyś taką szczytową formę, która będzie stała ponad walkami politycznemi. Dominujące stanowisko jednego stronnictwa, zamiast słusznie usuniętego systemu wielopartyjnego, wydaje mi się z punktu widzenia historycznego okresem przejściowym, który tak długo tylko jest usprawiedliwiony, jak długo tego wymaga bezpieczeństwo przewrotu i aż nie dokona się nowej selekcji osobistej sfer rządzących. Albowiem logika antyliberalistycznego rozwoju wymaga zasady organicznego wytężenia woli politycznej, które ma się opierać na dobrowolnem współdziałaniu wszystkich warstw narodu.

PRZECIWKO SOCJALIZMOWI

Mówi się też dużo o nadchodzącej socjalizacji. Więc poto przeżyliśmy rewolucję narodową, by przeprowadzić program bolszewików? Żaden naród nie może sobie pozwolić na ciągłą rewolucję od dołu. Raz wreszcie ruch musi się zakończyć, raz wreszcie musi powstać silna konstrukcja oparta na nieprzekupnej praworządności i niekwestjonowanej władzy państwowej. Niemcy nie mogą się stać pociągiem dążącym w nieznane, o którym nikt nie wie, gdzie i kiedy się zatrzyma.

Rząd dobrze jest poinformowany o tem, ile egoizmu, małostkowości, fałszu, nierycerskości i niekompetencji zapleniło się pod płaszczykiem niemieckiej rewolucji. Jeżeli się dąży do uszlachetnienia narodu, nie wolno niedoceniać rozsądku tego narodu i nie należy go stale traktować, jak nierozumne dziecko; nie przez podniecanie, szczególnie młodzieży, nie przez groźby przeciw bezbronnym odłamom narodu, lecz przez wzbudzające zaufanie przekonywanie można przywrócić zaufanie narodu. Naród pójdzie wiernie za swoim wodzem, o ile pozwoli się mu współradzić i współdziałać, o ile każde słowo krytyki, nie będzie natychmiast opacznie tłumaczone, i o ile zrozpaczonych patrjotów nie będzie piętnowało się jako wrogów państwa. Czas zebrać się w miłości braterskiej i w uszanowaniu dla rodaków i nie burzyć dzieła mężów poważnych i zamknąć usta sfanatyzowanym doktrynerom.

„Neue Freie Presse“ Wiedeń.

Dwaj Hindenburgowie: Marszałek polny i pułkownik

Bijąc w pułkownika Hitler trafia Marszałka

Ojciec, już dawno nie żelazny, przeszedł do legendy. Syn pozostał w cieniu. Trzecia Rzesza, przy której budowie i młody Hindenburg współdziałał, ubezwładniła feldmarszałka i zdetronizowała jego syna pułkownika do roli podrzędnego współtwinnego. Być może zrobią go jeszcze generałem, na więcej liczyć nie może.

Przez osiem lat Oskar von Hindenburg był rzeczywistym prezydentem. Kiedy 78 letni cesarski marszałek, po swoim wyborze na prezydenta zachował jako doradcę, doktora Meissnera, sfery demokratyczne odetchnęły. Nie będzie jeszcze tak źle. Nie spostrzeżono jednak tego drugiego pana, który wprowadził się do pałacu i tam się jako „adjutant osobisty“ urządził. Był to prawdziwy następca tronu, któremu nie podoba się polityka ojca. Za swoje zasługi w przedpokoju Oskar v. Hindenburg uzyskuje awansy na podpułkownika, a potem na pułkownika. Podczas wojny, z której wyszedł bez zadraśnięcia, doszedł zaledwie do rangi majora. Teraz panowie z Reichswehry, którzy przychodzą do papy, nie patrzą już nań zgóry. Mądry Schleicher poznaje szansę „tylnej furtki“. Przystępuje on jako trzeci do spółki Meissner-Oskar. Teraz Oskar jest Ludendorfem starego Hindenburga, który już tylko podpisuje to, co mu syn podsuwa.

Z okazji osiemdziesiątych urodzin prezydenta, szczwany Oldenburg-Januschau postarał się by „naszemu Hindenburgowi“ podarowano zbankrutowaną posiadłość Neudeck. Wielka machinacja podatkowa i przepisanie „daru narodowego“ na imię syna, przeszły zupełnie gładko. Ale sąsiedzi nowego obszarnika mieli już jego syna w garści. Teraz musiały popłynąć pieniądze z Osthilfe do kieszeni biednych junkrów. Dobrom Neudeck też przydałoby się trochę pieniędzy, ale do kasy majątku wpływa zaledwie marnych 600.000 marek. Oskar tem zadowolić się nie może. Widzi on, jak sąsiedzi skandalicznie trwonią pieniądze z Osthilfe, on jednak jest poważnym ojcem rodziny, on myśli o przyszłości. Papa wiecznie żyć nie będzie, a potem co?

Pozostać przez całe życie hreczkosiejem w zadłużonym majątku? Nie, Oskar woli już porozumieć się z przyjacielem *Gerekem* co do pieniędzy, które pozostały z funduszów na wybory prezydenta. Aż naraz kanclerz Brüning staje dęba, wpada na bolszewicki pomysł niedawania więcej pieniędzy na Osthilfe, a zamiast tego zamierza skolonizować bezrobotnych na najbardziej zadłużonych ziemiach. Precz z nim!

Po upadku Brüninga kanclerzem zostaje v. Papen. Teraz Oskar już nie ma się co martwić o Neudeck. Ze 120 miljonów, jakie Papen rozdarował, półtory wpłynęło do kasy majątku Neudeck. Wzamian Papen uzyskuje prawo zrobienia porządku w Prusiech. Ale v. Papen był na tyle nierozsądny że zadarł z nazi i ze Schleicherem.

Schleicher zostaje kanclerzem. Generał Schleicher zamierza oczywiście rządzić na serjo, ma odwagę odmówić dobru Neudeck skasowania długów. Ośmiela się nawet w parlamencie i w prasie uderzyć na alarm w sprawie pieniędzy z Osthilfu. Dochodzą groźne wieści, że nie zamierza oszczędzać nawet rodziny Hindenburgów! Alvensleben donosi: Schleicher zamierza w razie konieczności zaaresztować Hindenburga, Papena i Hitlera i ogłosić się dyktatorem. Oskar Hindenburg i Franz v. Papen naciskają sprężynki; raz — dwa — trzy — Schleicher już nie jest kanclerzem.

31 stycznia 1933 Oskar v. Hindenburg obchodzi pięćdziesiąte urodziny; capstrzyk z pochodniami, który otworzył erę trzeciej Rzeszy, powinien był właściwie odbyć się na jego cześć. Jego zręczny udział w tem wydarzeniu jest udowodniony. Jednak arcychytra spekulacja zwraca się przeciw spekulantowi samemu. Oskar spodziewał się zdobyć jeszcze większą potęgę dzięki podziałowi władzy między Hitlera a Hugenberga. Początkowy opór tego, który się przespekulował, zostaje natychmiast złamany: nanowo wysuwa się skandal z Osthilfe, i to w takich rozmiarach, że krach Schleichera wydaje się przy tem igraszką dziecinną. Inscenizuje się proces Gerekego, aby przed narodem od słonić tajemnicę funduszów wyborczych Hindenburga. W rodzinie Hindenburgów panika. Rozpoczyna się gra interwencyj i pośrednictw. Hitler uzyskuje to, czego pragnął. Ostatnie uprawnienie prezydenta — nadawania ustawom mocy przez położenie na nich podpisu prezydenta przechodzi, z drobnemi ograniczeniami, na kanclerza. Hindenburg jest ubezwładniony, staje się tylko figurą dekoracyjną, a syn zgorzkniałym statystą przedpokojowym.

Jednak ten proces o sprzeniewierzenie pieniędzy publicznych zostaje w właściwej chwili zatuszowany, naród o niczem się nie dowiaduje. Przeciwnie, przy pierwszej uroczystości pod Tannembergiem uwielbiany prezydent otrzymuje nowy dar narodowy, majątek i las Langenau, jako na wieki wolne od podatków dziedzictwo rodziny Hindenburg. Razem z Neudeck stanowi to okrągły mająteczek 30.000 hektarów ziemi. Ale ta bezsilność jednak nie daje synowi spokoju. Na nic jednak starania. Podczas włamania do mieszkania berlińskiego bankiera Sobernheima wpadają w ręce złodziei pewne listy, które są bardzo pożyteczne narodowym socjalistom.

Są to listy, z których wynika, że przyjaciele Oskar v. H. i Meissner bardzo zręcznie wykorzystywali swoje intymne wiadomości polityczne dla celów spekulacji giełdowej.

Oskar w pułapce! Co z tego wynika? Po pierwsze — Hitler może wymusić usunięcie Hamersteina, do którego Hindenburg jest najbardziej przywiązany, po wtóre — rozwiązuje wszystkie monarchistyczne organizacje ze Stahlhelmem włącznie.

Przezornie Hitler wznawia obecnie po raz drugi proces Gerekego, by klikę monarchistyczną, której centralą jest dom Hindenburgów, skompromitować przed oczyma całego narodu.

„Neue Weltbühne“ Praga

Przemówienie zabronione w Niemczech

Redaktorowie wszystkich gazet niemieckich dostali pilne polecenie, nieogłaszania mowy wicekanclerza v. Papena, wygłoszonej w uniwersytecie w Marburgu na temat celów rewolucji niemieckiej.

Telegram „United Press“.

„FRANKFURTER ZEITUNG“ SKONFISKOWANA ZA PAPENA

Z dobrze poinformowanych kół donoszą, że „Frankfurter Zeitung“ została skonfiskowana za ogłoszenie przemówienia wicekanclerza v. Papena. Krążą pogłoski o daleko idących konsekwencjach tej konfiskaty.

„Der Tag“ Wiedeń

Niemcy znajdują się w okresie wojny

...Jeżeli kierownictwo narodowo-socjalistyczne chwilowo zabrnęło, w ciągu realizowania wielkiego programu zatrudnienia bezrobotnych, w trudności dewizowe, które są tak poważne, że wstrzymują one dziś zupełnie transfer ich długów zagranicznych, to jest to rzecz zrozumiała. Nie myśmy te długi zaciągnęli lecz nasi poprzednicy, znajdujemy się obecnie w ogniu walki z kryzysem i wojna ta musi być wygrana. Wygramy zaś wtedy, kiedy cały naród będzie uważał, że znajduje się w okresie wojny i będzie gotowy do ofiar. Krążą p o s t a - a s i ę o t o, b y i z a m o ż n i e j s i p o c i ą g n i ę c i b y l i d o t y c h o f i a r.

- Z przemówienia min. Goebbelsa.

Patrjotyzm z ogr. odp.

Wielcy właściciele ziemscy we Wschodnich Prusiech są bardzo patrjotyczni. Znaczy to, że są oni gotowi na każde wezwanie poświęcać cudze życie dla swego kraju

Są to ci, co pomogli przemysłowcom i bankierom zachodnim do oddania władzy w ręce Hitlera i popierali w całej rozciągłości jego program wojującego nacjonalizmu.

Obecnie okazuje się, że patrjotyzm junkrów ma pewne granice. Krążą przykre pogłoski, że został zawarty układ tajny między wielkimi obszarnikami Prus Wschodnich a Rządem Polskim.

Obszarnicy Prus Wschodnich, otoczeni gruntami polskiemi, czują, że w przyszłej wojnie mogą ponieść ogromne straty, o ile się zawczasu nie zabezpieczą.

Pozatem, widząc wzbierające fale niepokoju ekonomicznego i nienawiści w Niemczech faszystowskich, do których powstania tak bardzo się przyczynili, zaczynają się obawiać, że nie jest jednak tak daleki dzień, kiedy ich wielkie posiadłości będą zabrane wbrew ich dawniejszym nadziejom. Pertraktują więc teraz z Polakami o polską obronę na wypadek rewolucji w Niemczech lub wojny między Niemcami a Polską.

Niemcy zadają sobie niepokojące pytanie, jaka jest cena, którą obszarnicy ofiarują Polakom za tę obronę, i czy całe to postępowanie jest naprawdę tak patrjotyczne, jak to można by sądzić z przemówień publicznych tych obszarników.

„The Clarion“, Londyn.

Reichswehra i junkierstwo — przeciwko szturmowcom i partji nar.—soc.

Tajemnica pieniędzy na wybory Hindenburga

W rozpatrywaniu materjału oskarżeniowego „Fundusze wyborcze Hindenburga" zaszła obecnie zmiana o tyle niespodziewana, że Dr. Gereke przedłożył materjały odciążające, które nie były brane pod uwagę podczas pierwszego procesu.

Dr. Gereke twierdzi, że już przed pierwszemi wyborami (Hindenburg, jak wiadomo, uzyskał większość dopiero przy powtórnych wyborach w r. 1932) ze sfer zainteresowanych wręczono mu 500.000 marek na założenie dziennika stronnictwa Hindenburga. Te pieniądze miał on zużyć podczas kampanji wyborczej na rzecz Hindenburga, kiedy niespodziewanie koła prawicowe wysunęły kandydaturę przywódcy Stahlhelmu Düsterberga. Zużycie tego pół miljona na osłabienie lub usunięcie kandydatury Düsterberga miało nastąpić za zgodą pułkownika Oskara v. Hindenburga.

Syn prezydenta Rzeszy, pułkownik Oskar v. Hindenburg, był przesłuchiwany w charakterze świadka w sprawie tego projektu założenia dziennika. Wywodził on, że konieczność takiej gazety dała się odczuć w chwili, kiedy wielkie dzienniki prawicowe nie opowiedziały się za powtórnym wyborem prezydenta. Dr. Gereke powiedział wówczas, że może oddać do dyspozycji 500.000 marek. Świadek przypuszczał, że pieniądze te pochodzą z funduszów wyborczych na rzecz Hindenburga. Projekt jednak potem upadł spowodu braku środków.

Przewodniczący: Czy w owym czasie Dr. Gereke był politycznym mężem zaufania prezydenta?

Pułkownik v. Hindenburg: Tego nie można powiedzieć. Był on jednak łącznikiem między zwolennikami Hindenburga a naszem biurem wyborczem i naturalnie musiałem z nim rozmawiać na temat taktyki wyborczej.

Przewodniczący: Obrona przedłożyła pewne notatki, z których część jednak skradziono. Notatka z 26 lutego 1932 opiewa: „Männe zamierza pozyskać Kurta". Ma to oznaczać „Deutsche Allgemeine Zeitung" i „Tägliche Rundschau".

Świadek uśmiecha się: „Männe" to jest imię zdrobniałe, a Kurt oznacza napewno Schleichera.

Przewodniczący: Ma to oznaczać, że pan zamierzał pozyskać generała v. Schleichera dla swojego projektu gazety i że chodziło wam o D. A. Z. lub o „Tägliche Rundschau".

Świadek: Prawdą jest, że mówiłem ze Schleicherem o dzienniku. Nigdy jednak nie zamierzaliśmy kupować D. A. Z., lub „Tägliche Rundschau".

Przewodniczący: Inna notatka miała brzmieć: „480.000 marek z Männe umówione. Przedewszystkiem kupienie głosów. Stary pan nie powinien występować jako kandydat lewicy. Sprawa gazety narazie nieaktualna. 480.000 marek całkowicie zużyto". Obrona dowodzi na podstawie tego, że Dr. Gereke otrzymał na założenie dziennika 480.000 marek i że zużył je zupełnie na rzecz wyborów Hindenburga.

Świadek nie przypomina sobie, przeczy jednak stanowczo, jakoby wiedział, że owych 480.000 marek były przeznaczone na założenie dziennika.

Obrona zapytuje, czy świadkowi wiadomo, że z Wilhelmstrasse (niemiecki M. S. Z.) dostarczono Dr-owi Gereke 500.000 marek. Dr. Gereke trzymał te pieniądze zaszyte w materacu w swojem mieszkaniu. Potem przyniósł je w teczce do Reichstagu i tam rozdał w celu usunięcia z drogi kontrkandydatury prawicowej.

Świadek: O tem nic nie wiem. Nie wręczałem Dr-owi Gereke pół miljona marek.

Przewodniczący: Świadek, który najprawdopodobniej wkrótce tu stanie, powiedział nam, że pół miljona leżało z wiedzą płk. Hindenburga u Dr-a Gereke. Gereke miał te pieniądze podczas pewnej rozmowy z panami z prawicy rozdzielić i potem o tem pana poinformować.

Świadek: Możliwe, że mówił mi o różnych sprawach. Mieliśmy tyle rozmów w owych czasach. Jest jednak absolutnie wykluczone, bym wręczał Dr-owi Gereke jakieś pieniądze przy Wilhelmstrasse.

Na zakończenie płk. v. Hindenburg oświadczył na zapytanie obrony, iż jest przekonany, że Dr. Gereke nie ciągnął prywatnych korzyści z pieniędzy przeznaczonych na kampanję wyborczą.

„Frankfurter Zeitung" Frankfurt n-M.

Smętne nastroje

Liczenie na bliskie załamanie się reżimu hitlerowskiego nie jest uzasadnione; to jednak, że reżim ten znajduje się w nader krytycznej sytuacji zarówno z punktu widzenia polityki wewnętrznej, jak i zewnętrznej, zdaje się nie ulegać wątpliwości.

Katastrofa finansowa i walutowa jest faktem; dowodzi tego okoliczność, że pokrycie złota marki wynosi nie więcej jak 2,9%: kryzys gospodarczy istnieje nadal, mimo wszystkie wysiłki, które mają go zmniejszyć lub zamaskować, budzi się nastawienie krytyczne nawet w środowiskach kierowniczych; okłaskuje się wciąż Führera, ale zaczyna się — choć na razie lękliwie — reakcja przeciw „brunatnemu reżimowi". To są fakty, charakteryzujące życie niemieckie w chwili obecnej.

W polityce zagranicznej fakty są niemniej wymowne. Klapa konferencji rozbrojeniowej podkreśliła jeszcze bardziej izolację Niemiec na terenie międzynarodowym. Za traktat z Polską zapłacono rezygnacją, przynajmniej tymczasową, z wszelkiej ekspansji na Wschodzie, coś, na co żaden rząd weimarski by się nie odważył. Ofensywa przeciw Austrji zakończyła się fiaskiem, o ile prawdą jest, że Hitler uzgodnił z Mussolinim program „serdecznej współpracy", to chyba musiał za to zapłacić wyrzeczeniem się wszelkich prób Anschlussu, który przecież stanowił kardynalny punkt polityki zagranicznej Trzeciej Rzeszy.

Liczne są zatem przyczyny przygnębienia Niemiec. Usprawiedliwiają one niepokój, który coraz wyraźniej zaczyna się objawiać po drugiej stronie Renu. Wyjaśniają one również teatralną wizytę Hitlera w Wenecji, wysiłki Goebbelsa w Warszawie i podróż Ribentropa dla sondowania opinji Francji.

„Le Temps" Paryż.

Krótka pamięć

Rozprawa apelacyjna w sądzie w Moabit przeciw byłemu ministrowi Rzeszy Dr-wi Gereke, przynosi codziennie nowe interesujące szczegóły polityczne. Nie ulega wątpliwości, że Dr. Gereke działał stale w porozumieniu i na żądanie kliki, grupującej się dokoła płk v. Hindenburga i generała Schleichera. Niema tu mowy o sprzeniewierzeniu pieniędzy politycznych.

Zamiarem narodowych socjalistów jest od samego początku wyzyskanie procesu Gerekego przeciw obozowi Hindenburga i szachowanie nim szeregu osób z otoczenia prezydenta oraz utrzymywać ich w uległości.

„Pariser Tageblatt" Paryż.

Dlaczego Niemcy nie płacą?

Niezwykłem zdarzeniem w historji ekonomji jest fakt, że wielkie i bogate państwo, stojące na wyżynach technicznego rozwoju, odmawia spłaty prywatnych zobowiązań wobec państw obcych. Wypadek jest jedyny w swoim rodzaju: dłużnicy są wypłacalni, ale zakaz władz państwowych uniemożliwia im nabycie obcych walut, niezbędnych dla dokonania spłaty długów. W czasie przewlekłych dyskusyj w Berlinie, Niemcy oświadczyły, że będą płacić w obrębie kraju, ale nie chcą przekazywać pieniędzy zagranicznym wierzycielom. Ale spłata należności w walucie niemieckiej, którą wierzyciel nie rozporządza i która nie jest notowana na giełdzie, w rzeczywistości nie jest spłatą.

Zapomocą całego szeregu sztucznych środków Niemcy prowadzą politykę „sanowania rynku wewnętrznego". Robią to w imię popularnej teraz tezy, że dobrobyt a nawet honor państwa wymagają najbardziej samowystarczalnej gospodarki. Na dodatek, władze starają się „tworzyć pracę" dla bezrobotnych. W tym celu powiększono do nierozumnych rozmiarów potrzeby rynku wewnętrznego i inwestuje się w budowę gmachów, dróg i w inne roboty publiczne sumy, na jakich wydanie mogłoby sobie pozwolić tylko bardzo bogate państwo.

Taka polityka ześrodkowania wysiłków jedynie na zaspokojenie potrzeb wewnętrznych musi doprowadzić do zwrócenia zdolności wytwórczej państwa w jednym tylko kierunku. Wskutek tego przemysł, pracujący na eksport jest w znacznem zaniedbaniu, wzrastają koszty produkcji i maleje zdolność nabywania obcych walut. Jednocześnie zaś, pielęgnowanie rynku wewnętrznego i wzmacnianie „wewnętrznej zdolności nabywczej" wzmaga zapotrzebowanie na zagraniczne surowce i inne importowane produkty, podwyższające w ten sposób i zapotrzebowanie na waluty obce. Skutek był taki, że trzeba było zapotrzebowanie to zmniejszyć do minimum, a mimo to niemożliwością było osiągnąć równowagę w bilansie płatniczym, jeżeli włączyć bieżące zobowiązania Niemiec.

Wątpić należy, czy można będzie osiągnąć jakąś poprawę w tej paradoksalnej sytuacji, nawet gdyby Niemcy odrzuciły ostatecznie spłatę wszystkich długów zagranicznych.

Jeszcze inny czynnik odegrał rolę w zniszczeniu niemieckiego bilansu płatniczego. Jest nim zbyt wysoka wartość marki niemieckiej, w wyniku wielkiej zwyżki wartości złota w ostatnich kilku latach.

Świat ma prawo wymagać od monetarnej polityki jakiegoś państwa przynajmniej utrzymania waluty na stałym poziomie. Dla Niemiec jedynem wyjściem z obecnego zamętu jest obniżenie parytetu złota marki niemieckiej o dwóch trzecich przynajmniej. To położyłoby kres obecnej nadwartości parytetowej marki; niemiecki przemysł eksportowy zyskałby możność normalnej konkurencji na rynkach światowych; rynek wewnętrzny zyskałby obronę przeciw nadmiernemu importowi bez uciekania się do sztucznych ograniczeń dewizowych i nie potrwałoby długo, a Niemcy byłyby zdolne do spłaty przynajmniej odsetek od zagranicznych długów.

W interesie całego świata leży, żeby Niemcy zaczęły płacić. Powszechna odmowa płacenia prywatnych zobowiązań zada śmiertelny cios zaufaniu w stosunkach międzynarodowych. Przywrócenie międzynarodowego ruchu kapitałów, najważniejszego czynnika odbudowy świata, stałoby się niemożliwością. Z tego względu byłoby nader ważne żeby państwa — wierzycielskie okazały w stosunkach z Niemcami niezachwianą stanowczość wraz z pewnego rodzaju gotowością współpracy, dyktowaną zdrowym rozsądkiem ekonomicznym. Co się tyczy pożyczek Dawes'a i Young'a, to Francja i Anglja ponoszą wyraźną odpowiedzialność moralną za dopilnowanie przymusu płacenia. Zanadto zaangażowały się w czasie rozpisania pożyczek, by mogły pozostawić prywatnych kapitalistów samym sobie.

Prof. G. Cassel,
„The Manchester Guardian", Manchester.

Długi wojenne a długi niemieckie

Jest to oczywiście bardzo przykre, że ostateczna odmowa spłaty długów wojennych nastąpiła w chwili, gdy Anglja przygotowuje się do zastosowania represyj w stosunku do Niemiec, gdyby one nie wywiązały się z zobowiązań wynikających dla nich z pożyczek Younga i Dawesa. Nie zabraknie bowiem głosów krytyki, oskarżających anglików o hipokryzję i sprzeczność z sobą samym.

Naprawdę jednak istnieje wyraźna i podwójna różnica między obydwoma wypadkami. Niemcy zostały już w Lausanne'ie zwolnione od wszystkich swoich możliwych zobowiązań, wynikających z reparacyj; otóż hipokryzją z naszej strony byłoby, gdybyśmy odmówili spłaty naszych długów wojennych, egzekwując równocześnie nasze należności od Niemiec, podczas gdyśmy przez osiemnaście miesięcy postępowali wręcz odwrotnie. Z drugiej strony główny argument naszego wystąpienia przeciw amerykańskim długom wojennym na tem polega, że Ameryka sama uniemożliwiła nam spłacanie tych długów.

Kryzys gospodarczy i cła ochronne podcięły nasz eksport do Niemiec, lecz brytyjskie zakupy niemieckich towarów, przewyższające nasz eksport do Niemiec, są jeszcze wciąż dość wysokie, by umożliwić Niemcom pokrycie ich zobowiązań wobec nas. Jakkolwiek ta myśl może się wydawać przykrą pewnemu typowi ekscentrycznych ekonomistów, którzy mają w obecnej chwili coś do powiedzenia w tym kraju i gdzieindziej, Anglja, naogół, wciąż jeszcze postępuje, jak wierzyciel postępować powinien.

„The Economist" Londyn.

Ameryka przywołuje do porządku

Hitler zażądał od narodu niemieckiego ofiar, któreby zapewniły ustrojowi narodowo-socjalistycznemu dziesięć wieków istnienia. Takie wezwanie nie może miło brzmieć w uszach narodu tak dumnego, jak naród niemiecki, w chwili, kiedy Paryż i Londyn dają mu odczuć poniżenie, które kanclerz ściągnął na Rzeszę, swoją niekompetencją w sprawach finansowych. Żadna cenzura prasowa nie przeszkodzi, by naród niemiecki nie uświadomił sobie, jakie wrażenie wywarło w opinji światowej złośliwe bankructwo Rzeszy.

Jak wiadomo ambasador Stanów Zjednoczonych w Berlinie złożył oficjalny protest przeciw posiadaczom amerykańskich bonów kredytowych. Zdarzenie to, jest surowem przywołaniem Hitlera do porządku. Zrobiłby on lepiej, gdyby porzucił swoje projekty światowych aljansów, i ześrodkował całą swoją uwagę i wszystkie swoje wysiłki w kierunku zaprowadzenia porządku w swym własnym domu.

„The New-York Times" Nowy Jork.

Groźne dla wszystkich

W każdym razie kryzys walutowy niemiecki, jakkolwiek może być stopniowo łagodzony, zwiększa w bezpośrednich skutkach niepewność sytuacji światowej. Wszelki incydent tego rodzaju jest w znacznej mierze szkodliwy, aczkolwiek nie można porównywać spadku marki, oddawna przewidywanego, z odstąpieniem funta czy dolara od parytetu złota. W wielu środowiskach finansowych, szczególnie w Londynie, finansiści posiadają jeszcze papiery wartościowe opiewające na marki. Funt szterling mógłby pokwitować cios, a dolar pokusić się o wyrównanie dystansu.

„La Journée Industrielle". Paryż.

Kobieta japońska żyje dla swego mężczyzny

Jako reżyser wielkiego filmu „La Bataille“ według słynnej powieści Claude Farrère'a — bawiłem zeszłego lata w Japonji i miałem sposobność zapoznania się z życiem, światem uczuć i postępowaniem kobiety japońskiej. Mogę śmiało twierdzić, że doświadczenie jakie nabyłem, należy do najbardziej wartościowych zdobyczy, jakie zawdzięczam tej niezwykle ciekawej podróży.

Najgłębszą treścią każdej jednostki — pomimo powierzchownego — europejskiego „tynku“, jakim posiłkuje się Japończyk, walcząc o swą pozycję w świecie — jest jego niezmieniony od stuleci patrjarchalny sposób odczuwania i myślenia. Przekonała mnie o tem pierwsza wizyta, jaką złożyłem w Tokio w domu pewnego wytwornego Markiza.

Z dziecinną dumą przeprowadził mnie przez cztery bardzo niegustownie urządzone, europejskie pokoje, gdzie amerykańskie biurko pyszniło się towarzystwem fortepianu z mahoniu; wyrażał przytem żal, że urządzenie pozostałych 26 pokoi zostało na życzenie jego rodziny — japońskie. Pierwszą mą znajomość z wytwornemi paniami japońskiemi zawarłem potem przy herbacie.

Towarzystwo składało się z pięciu osób, z których jedynym europejczykiem byłem ja. Wszyscy ubrani byli po europejsku, z wyjątkiem pani domu, która nosiła czarne kimono. Postać jej, w tym stroju, klęcząca na macie salonu, przedstawiała sobą niezwykły widok, tembardziej, że pozostali usadowili się na maleńkich czarnych stolikach hebanowych. Japończyk nie uznaje „mieszanego“ rzędu gości przy stole — obyczaj nakazuje surowo, aby kobiety i mężczyźni siedzieli oddzielnie, w dwóch rzędach nawprost siebie. Pije się herbatę z kwiatów; do tego je się zaprawiane pieprzem cukierki.

Zrobiłem pod adresem gospodarza kilka pochlebnych uwag o obyczajach japońskich; na co Markiz oświadczył, że „niefałszowane“ obyczaje znaleźć można tylko na prowincji. Dobrze się złożyło, że w sprawach zawodowych musiałem wyjechać z Tokio. Znalazłszy się potem w jedynym, eleganckim hotelu pewnej małej mieściny portowej, i poznawszy tamtejsze życie — musiałem Markizowi przyznać słuszność.

Przyzwyczaiłem się już do pokoi bez łóżek, bez stołów i krzeseł; uderzyło mnie natomiast nowością to, com ujrzał podczas wspólnej kolacji w wielkiej sali jadalnej. Spożywało tam posiłek około 30 gości. Usługiwały im młodziutkie dziewczęta, delikatne i drobne, jak dzieci, wypełniające swe obowiązki z zadziwiającą uwagą. Po każdem daniu tego bogatego menu nalewa się napój narodowy Japończyków, wytrawne wino ryżowe, t. zw. „Saka“. Uprzejmy Japończyk wie poco kelnerka pełna oczekiwania, staje przy jego stoliku. Okazuje usługującej dziewczynie tradycyjną uprzejmość, zapraszając ją w uroczyście uprzejmych słowach do wypicia z jego czary. „Czy zechcesz, droga córko, pić z mej czary?“ A dziewczę odpija cokolwiek z jego czary, którą potem starannie wymywa gorącą wodą.

Wytworna Japonka zawsze stara się okazać usłużność i uprzejmość — nawet w stosunku do obcego jej człowieka. Kiedy pewnego szczególnie gorącego dnia, pracowałem, zmęczony i wyczerpany, z pobliskiego domu wyszła do mnie dama, proponując mi filiżankę herbaty. A ponieważ niesposób pić herbatę, stojąc, przyniosła z sobą jednocześnie matę. A kiedy zapytałem mojej gospodyni w hotelu, czy wolno mi posłać owej damie trochę kwiatów, objaśniła mnie, że byłoby to niegrzecznością, ponieważ ozdabianie domu kwiatami należy do najwytworniejszych obowiązków samej pani domu. „Poślij jej pan lepiej dwa ładne ręczniki“, rzekła, „sprawi jej to napewno przyjemność“.

Kobieta — istotą niższą

A jednak tak niezwykle uprzejmy Japończyk nie uważa kobiety za równą sobie istotę. Stanowi ona dla mężczyzny milutką zabawkę, nie będąc jego towarzyszem. Nawet w najelegantszem towarzystwie żona siedzi za plecami męża. Kobieta japońska nie opuszcza prawie nigdy mieszkania i zajmuje się bardzo wiele gospodarstwem. Jej wątły, słabowity wygląd z pewnością stoi w związku z podobnym trybem życia. Nierzadko się zdarza, że 13 letnia dziewczynka poślubia nie o wiele starszego „mężczyznę“; a liczne potomstwo odpowiada ich patrjarchalnym poglądom. W tym samym duchu utrzymana jest myśl przewodnia, wpajana w młode dziewczęta;

Potrzykroć bądź oddana:
Najpierw rodzicom twego małżonka.
Potem swemu małżonkowi.
Wreszcie twoim dzieciom.

Uderzające jest to, że, na pierwszem miejscu stoją teściowie. Nic nie jest dla Japończyka bardziej niezrozumiałe, aniżeli nasze europejskie dowcipy o teściowej. Niedawno temu sąd japoński nakazał rozwód pewnego małżeństwa, ponieważ żona nie chciała składać swym teściom codziennej, porannej wizyty.

Prawa małżeńskie Konfucjusza cieszą się jeszcze pełną powagą i znaczeniem. Twierdzą one, że mężczyzna może rozwieść się z kobietą jeśli za dużo mówi, jeśli przewraca oczy do innych mężczyzn, jeśli pije, jeśli kradnie, jeśli nie szanuje rodziców męża, jeśli nie ma dzieci albo jest chora. Żona może się również rozwieść z mężem dla tych samych powodów. Nie przysługuje jej to jednak przy pierwszej niewierności męża, natomiast wtedy, kiedy został już raz za to ukarany. Będąc zaś bezdzietną, musi tolerować nawet jego kochankę, której dzieci są uważane za prawe i uprawnione do dziedziczenia majątku.

Pocałunek nieznany

Do tego obrazu, człowieka Dalekiego Wschodu, doskonale stosuje się prawie nadnaturalna powściągliwość kobiety japońskiej w okazywaniu uczuć. Podczas powrotu wojowników mandżurskich, obserwowałem powitanie pewnego młodzieńca z rodziną. Stał wyprostowany na baczność przed matką i rodzeństwem, powtarzając wkółko: „kochana matko, wróciłem, kochane rodzeństwo, wróciłem“. Ci zaś i matka stali nieruchomo, tylko oczy ich mówiły o przebytym niepokoju i nieskończonej radości z jego powrotu. Nie należy przytem zapominać, że fizyczny wyraz uczucia nie jest u wszystkich ras ludzkich jednakowy. Japończyk nie uważa serca za siedlisko uczucia; uważa je natomiast za taki sam organ, jak i każdy inny, a słowa: „Kocham cię z całego serca“ byłyby w języku japońskim niezrozumiałe. Japończyka, nieszczęśliwie zakochanego, bolą prędzej kolana z klęczenia przed ubóstwianą, niż serce. Również i pocałunek jest obcy Japończykowi. W wyświetlanych w Japonji filmach amerykańskich trzeba wycinać sceny pocałunków, ponieważ... nikt ich tam nie rozumie. Nawiązane jednak stosunki z kulturą europejską wywarzają zmiany i pod tym względem. Podobno w ostatnich czasach wieczorami spotyka się parki japońskie, zachowujące się zupełnie po europejsku. Ale sfery miarodajne dotychczas nie uznają pocałunku — tego importowanego z Europy artykułu.

To, że Japonja staje się krajem wielkich kulturalnych i cywilizacyjnych przewrotów, dogadza jednak kobiecie japońskiej. Nowe pokolenie dziewcząt wychowuje się często (szczególnie w miastach) według nowych zasad. Sport, fechtunek, przysposobienie wojskowe i wykształcenie zawodowe mają z tej cudownej, japońskiej rośliny cieplarnianej uczynić nowego, silnego człowieka, będącego w stanie stać się dla mężczyzny, który czuje się teraz Zdobywcą — prawdziwą żoną i matką, i wydać na świat nowe pokolenie, pełne siły i zdrowia.

Nikolaus Farkas
„Die Bühne“ Wiedeń.

Nurkowie - kobiety w Japonji

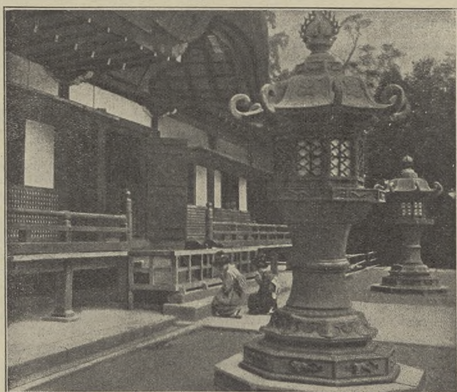
Dopiero niedawno doszły nas wiadomości o japońskim zawodzie kobiecym, nigdzie indziej na świecie niespotykanym. Zawód ten wykonywany jest przeważnie w prowincji Szimane w środkowej Japonji. Metody pracy kobiet-nurków zwanych tam „ama“ są zagadkowe. Kobiety te, przeważnie zamężne i dzietne, utrzymują nurkowaniem całą rodzinę. Trudno tylko zrozumieć, dlaczego — prawdopodobnie od niepamiętnych czasów — muszą nurkować kobiety, podczas gdy mężowie zostają w łodziach i pomagają im przy opuszczaniu się na dno?

„Ekwipunek“ amy nie uległ zmianie przynajmniej w ciągu ostatniego tysiąca lat. Nosi ona do pracy często tylko bieliznę, zawsze zaś przepaskę na biodrach. Jedynie okulary, najważniejszy „przyrząd“, zostały ulepszone w ciągu ostatnich dziesięcioleci. Teraz używane są okulary z napełnionemi powietrzem woreczkami ze skóry lub gumy, z których prowadzi rurka do ust i które w ten sposób chronią oczy od ciśnienia wody. Ideałem dla amy są okulary z ochraniaczem na nos, ale na takie pozwolić sobie mogą tylko zamożn zsze.

Jak się odbywa sam proces nurkowania? Mąż wyjeżdża z żoną i dziećmi (nawet niemowlętami) na zgóry upatrzone miejsce, gdzie czekają już inne amy na łodziach. Ama schodzi po szyję do wody, opasuje ciało liną, a do ręki bierze rurę napełnioną olowiem. Lina opasa blok, stojący na łodzi, raz jeszcze sprawdza się przyrząd i ama przed ostatecznem zanurzeniem się wydaje długi i przeciągły gwizd. Nie jest to bynajmniej sygnał, ani znak porozumienia się z innemi kobietami, jak dawniej myślano, ale „ćwiczenie“ dla płuc; w ten sposób wypuszcza ama cały zapas powietrza z płuc, oddaje dwutlenek węgla i przez długie powolne wdychanie nabiera możliwie największą ilość tlenu.

Potem, wstrzymując oddech, zatapia się powoli — zazwyczaj na głębokość 30 metrów. Na tej niesłychanej głębokości, pod ciśnieniem blisko 3,5 atmosfer pozostaje kobieta regularnie przez dwie i pół minuty; przez ten czas ostrem żelazem wydrapuje z dna swoją zdobycz: muszle i jadalne algi, z których na całem wybrzeżu Azji wschodniej przyrządza się potrawy. Wtedy pociąga „ama“ za linę i mąż obracając korbą bloku windują ją na powierzchnię.

W ciągu jednego dnia kobiety opuszczają się od 60 do 90 razy na dno. Dla dopełnienia obrazu niesłychanej ich wytrzymałości, trzeba dodać, że szybkość wciągania ich zmusza je do przenoszenia się w czasie od 13 do 18 sekund z ciśnienia pod wodą pod normalne ciśnienie powietrza. Znany podróżnik Basil Hall Chamberlain twierdzi, że amy starzeją się bardzo szybko i że włosy ich „czerwienieją pod działaniem słonej wody“ prędko wypadają. *„Uhu“ Berlin.*



Japonki przed ołtarzem domowym.

Ladies Carlton Club w Londynie

U wejścia do pałacu, w którym mieści się „Ladies Carlton Club", stoi stos kufrów i waliz i kręcą się zaaferowani boye Gdyby nie wytworny akcent oxfordzki portjera, możnaby przypuścić, że jesteśmy w jakimś hotelu. Prowadzą nas do salonu sekretarki klubu. Na kominku płonie ogień, a małe pieski wyrywają sobie wyłącznie dla nich przeznaczonego pluszowego niedźwiadka. Za oknami widać tonący w blasku słońca Hyde Park Corner z rojem aut i autobusów, a spoza drzew parku zdaleka prześwieca Buckingham Palace, rezydencja króla. Przez bramę Hyde Parku przejeżdża właśnie oddział gwardji królewskiej, kirasjerzy w rozwianych płaszczach na wspaniałych rumakach.

Tonem, wyłączającym sprzeciw, pyta sekretarka klubu: „Czy to nie cudowny widok?"

* * *

W klubie jest 120 pokojów i 160 urzędników. Piękne, marmurowe schody prowadzą do sali balowej o złoconych krzesłach. W licznych salonikach, pokojach bridżowych, czytelniach o wysokich oknach i ciężkich portjerach, stoją niskie angielskie wyściełane fotele. Kto pragnie zupełnego spokoju, może udać się do „pokoju dla wypoczynku" o tapczanach zastawionych parawanami. — Wstęp do klubu i wpisy nawet nie są drogie Wpis kosztuje 10 gwinei (285 złotych), a składka roczna tyleż.

Podczas lunchu i obiadu można w klubie spotkać wielu mężczyzn.

— Ze wszystkich kobiecych klubów Londynu, nasz jest przez panów najbardziej lubiany, zapewniają nas. Bale w klubie należą do najelegantszych w stolicy.

Wszystko tu odbywa się na sposób iście angielski: wieczorem trzeba się przebrać, kuchnia jest francuska, w pokojach zaś panuje przeraźliwe zimno. Coprawda urządzono w klubie centralne ogrzewanie — co na stosunki londyńskie jest niemałym luksusem, ale kominków nie usunięto (bo gdzieżby można czytać gazety?) Ale, ponieważ okna są pojedyńcze, wieje z nich straszliwie. Angielki coprawda zdają się być nawet w wyciętych sukniach zabezpieczone od przeciągów i zimna wtedy przynajmniej kiedy uprawiają sporty. W wypadkach przeciwnych „flu", jak tutaj nazywają grypę, i tak jest przewidziana w zimowym programie zajęć.

Hotel w klubie

Klub ma 60 apartamentów składających się z salonika i sypialni, albo z jednego tylko pokoju mieszkalnego, oczywiście z łazienką. Zwykłe mieszkanie kosztuje tu 10 szylingów dziennie. Wiele pań mieszka miesiącami w klubie.

W zamieszkanych pokojach zdarza się widzieć dedykowane fotografje mężów stanu i innych sławnych ludzi — od Baldwina począwszy, aż do Mussoliniego.

* * *

W kwadratowym, dość wysokim pokoju o bielonych ścianach i małej galerji dokoła podskakują jak szalone dwie panie w krótkich spodenkach. Znajdujemy się na korcie do gry w „Squash-Racket", gry polegającej na rzucaniu małą piłką o ścianę i odbijaniu jej rakietą, podobną do tenisowej. Squash-Racket jest prastarą grą, z której powstał tenis. Wobec niezwykle szybkiego tempa gry, staje się ona ćwiczeniem dla całego ciała. W Anglji i w Ameryce jest wielu amatorów, którzy namiętnie w nią grają, zdarzają się nawet międzynarodowe turnieje „squash".

Basen klubu jest olbrzymi a woda w nim tak czysta jak w górskiem jeziorze. W wodzie odbija się zielono-niebieski sufit hallu. Na okalającej basen galerji można przy coctailu lub herbacie przyglądać się skokom i treningowi młodych pań.

W sali balowej ustawiono podjum; na niem, u dołu, po lewej stronie duży napis „pro" po prawej stronie „contra". Panie w balowych sukniach zapełniają salę. Pani, zajmująca wielki fotel pośrodku podjum, wstaje i oświadcza. Nasz klub jest zdania, że kobiety, których dochód roczny przekracza 250 funtów nie powinny pracować zarobkowo, aby nie stwarzać konkurencji na rynku pracy.



Klub został przez inny klub który jest przeciwnego zdania, zaproszony do dyskusji i teraz właśnie rozpocząć się ma między członkiniami próbna debata. Jako osoba postronna, zastanawiam się, czy klub ma wogóle jakiś polityczny kierunek? Czy jest liberalny? Czy konserwatywny? Czy może bezpartyjny? Przemówienia są tak rzeczowe i tak przytem dowcipne..., że nic nie wyjaśniają. Jeżeli zaś sądzić po sukniach — klub z pewnością nie należy do Labour-Party.

Działaczki

Po kilku pytaniach ogólnych żądnemu wyjaśnień gościowi odpowiada wreszcie szeptem sekretarka klubu: — Oczywista rzecz, że przyjmujemy tylko osoby poglądów konserwatywnych!

— Każda pani, która chce zostać członkiem klubu, musi przedtem podpisać oświadczenie, będące pewnego rodzaju wyznaniem wiary. Klub bynajmniej nie jest zgromadzeniem żon i córek konserwatystów, ale uprawia w granicach programu konserwatywnego czynną politykę. Pięć członkiń zasiada w Parlamencie, klub robi pozatem propagandę dla konserwatystów, pomaga w agitacji wyborczej, urządza zebrania, jednem słowem robi to wszystko co w Anglji należy do życia politycznego. Przedewszystkiem zaś troszczy się o młodzież:

— Miesięczne bale urządzamy głównie dlatego, żeby nie tracić kontaktu z młodem pokoleniem. Spośród 2500 członkiń klubu, 1400 należy do sekcji politycznej, co oddzielnie kosztuje 10 gwinei rocznie. — 450 „junjorek" (granicą jest wiek 27 lat!) należących do sekcji politycznej, nie płaci nic za uczestnictwo. Składkę klubową płacą w wysokości 5 gwinei rocznie i przyjmowane są bez uiszczenia wpisowego.

* * *

Białe piramidy cukrowe, białe torty z różowemi ozdobami i srebrnemi kulkami stoją w długich rzędach „pour le dîner de demain" jak mówi kucharz.

Panie z klubu nie gardzą, zdaje się, kuchnią. Jada się tutaj za małe pieniądze równie dobrze, jak w pierwszorzędnych restauracjach Wszystko tu jest. Wielka kuchnia o kilku paleniskach, czyściutka piekarnia, spiżarnie, w których można łatwo zbłądzić i piwnica win. Ceny win w klubie, na londyńskie stosunki rzeczywiście niewysokie, spotykają się z niezadowoleniem niektórych członkiń. Przy całej elegancji wszystko jest w klubie dokładnie wykalkulowane.

* * *

W typowy londyński poranek pokoje klubu są prawie tak czarne od mgły jak ulice miasta. „Jutro trzeba będzie zdjąć firanki i oddać do prania!", wzdycha sekretarka klubu.

Mgła wciska się przez wszystkie szpary i wszystko pokrywa brudem Jest ciemno, pali się światło elektryczne. Przez okno widać chyłkiem przemykające wzdłuż murów postacie. W jakiemś miejscu mgła zabarwiona jest na różowo — tam jest zapewne słońce. Właściwie nie widzi się nic.

Tonem, wykluczającym sprzeciw, zapytuje sekretarka klubu: „Prawda, że mamy cudowny widok?".

„Die Dame" Berlin.



PIĘCIORACZKI KANADYJSKIE

ZADZIWIAJĄCA MATEMATYKA PŁODNOŚCI LUDZKIEJ

Pięcioraczki kanadyjskiej rodziny Dionne zainteresowały sfery lekarskie. Według prof. Alana Franka dotychczas zanotowano przeszło 30 wypadków pięcioraczków, nigdy natomiast nie zanotowano szóstaczków. Zanim Olivia Dionne nie dostała się do gazet, nie było niekwestjonowanego wypadku pięcioraczków, któreby żyły dłużej niż 50 minut. Pięcioraczki Dionne'ów, które razem ważyły trzynaście funtów, żyły jeszcze, kiedy ten artykuł był pisany, a to dzięki inteligentnej opiece d-ra A. R. Dafoe, inkubatorowi i staraniom pielęgniarek. Byłoby zadziwiające, gdyby tych 5 dzieci urodzonych z jednej matki jednego i tego samego dnia, pozostało przy życiu. W takich wypadkach porody są zwykle przedwczesne, czego i w tym wypadku dowodzi konieczność uciekania się do inkubatora. Właściwie jest cudem, że wszystkie urodziły się żywe.



Matka i dzieci.

Na podstawie danych dr. Gutmachera, okazuje się, że wielokrotne płody zdarzają się u kobiet w wieku 35 do 40 lat. Tymczasem Olivia Dionne liczy obecnie 24. Jej mąż, liczący lat 31, nie ma nic wspólnego z jej płodnością.

W. W. Greulich z Uniwersytetu w Colorado przestudjował 100,000,000 porodów i odkrył, że bliźnięta zdarzają się co 87-y poród. Jeżeli podnieść tę cyfrę do kwadratu, a otrzyma się częstość trojaczków, podnieść ją do sześcianu, wypadnie częstość czworaczków, czwarta potęga da nam cyfry częstości pięcioraczków, które zdarzają się, jak z obliczeń wynika, raz na 57,000,000 porodów.

Najprawdopodobniej wypadek Dionne'ów jest genetyczny — to znaczy, że ma on coś do czynienia z geneami dziedzicznemi — Ernesta albo Olivy Dionne.

Inni embrjologowie uważają ten wypadek za przejaw atawizmu, co według słów Gutmachera da się tak wyrazić: „W procesie ewolucji kobieta przeszła przez taką fazę, kiedy stale rodziła kilka młodych przy jednym porodzie". Dowodem tych tendencyj atawistycznych jest fakt, że na 300 kobiet zdarza się jedna, która posiada dodatkowe sutki.

Profesor Osler badał pewnego razu kobietę o trzech dodatkowych sutkach. „Ile dzieci?" zapytał profesor.

— Tylko jedno — odpowiedziała pacjentka.

— To źle! bardzo źle! Stół jest nakryty dla pięciu.

„The New York Times", Nowy Jork.

Mickey Mouse w świątyni sztuki

Świat oklaskuje Walt'a Disney'a — ponieważ pobudza on do śmiechu. Jego wkład do skarbnicy wesołości, okazał się „Sztuką". „Art Workers Guild" (Związek Pracowników Sztuki) w Londynie, mianował go swym członkiem honorowym. A Disney starał się przecież tylko zarobić na swe utrzymanie...

Disney, liczący obecnie 32 lata, jest jednym z czołowych producentów filmowych. Gwiazdy jego: Mickey i Minnie Mouse — to najpopularniejsze sylwetki ekranu.

Sklepy i składy całego globu ziemskiego mają w sprzedaży ze 600 artykułów: zabawek, książek, zegarów, ozdobionych radosnemi twarzyczkami Mickey i Minnie, a Disney bierze to wszystko bardzo spokojnie.

Nie pozuje, nie jest zarozumialcem. Zbyt wiele zaznał już ciężkiej walki — aby przejmować się tymi, którzy chcą go prześcignąć, albo też hołdami, jakie otrzymuje z każdą pocztą. Stanowisko jego wobec publiczności, jego 175 pracowników i jego dzieło — to walka z wszelką tradycją „praktycznego" kinematografu.

Zdawałoby się, że Disney nie analizuje zbyt głęboko tego, co robi. Zapytajcie go, czemu Mickey cieszy się takiem powodzeniem, a odpowie, „Hm, nie wiem, ale się domyślam" — a słysząc tę niezbyt głęboką odpowiedź, czuje się, że Disney to urodzony mistrz, świadomy swoich czynów, lecz nie zaprzątający sobie głowy teorjami.

Zaczął od rzeczy, o której sądził, że będzie bawiła i trzymał się jej, nie zważając na niepowodzenia. Rysunki wynalezione były jeszcze przedtem, zanim w r. 1920 ukazał się na widowni. Jedynym nowym pomysłem Disney'a był charakter tych rysunków.

Prawie do ostatniego roku nie był pewien, czy będzie mógł wypłacić tygodniówki. Dziś, po "Trzech Małych Świnkach" i kolorowych „Głupich Symfonjach" rozważa zamiar wydania 250.000 dolarów na film pełnej długości, oparty na bajce „O Śnieżce i Siedmiu Karzełkach". Jeżeli nie spodoba się publiczności, ma zamiar zniszczyć go już po wykonaniu. Na tym punkcie jest poprostu fanatykiem: jeśli jakość filmu jest niewystarczająca, Disney bierze na siebie natychmiast wszelkie straty, wiedząc, że ostatecznie przecież na tem zarobi. A są to jego własne pieniądze, nie zaś kapitalisty.

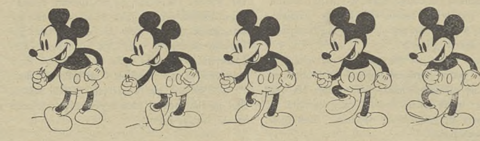
Zapewne jego dawne życie wyrobiło w Disney'u umiejętność tworzenia rzeczy, które mogą porwać widzów całego świata. Urodzony w Chicago, podrastał na wsi, nad Missouri wśród małych ludzi średniej klasy. Pracował, jako sprzedawca słodyczy na kolei Środkowo-Zachodniej, gdzie poznał swój kraj i jego mieszkańców. W Kansas City odbywał swoją codzienną drogę jako sprzedawca gazety porannej. I tam i w Chicago pracował również na poczcie.

Obdarzony wrodzonemi zdolnościami mimicznemi zarabiał pieniądze w teatrach, naśladując Charlie Chaplina, kiedy tego rodzaju sztuczki były ostatnim krzykiem mody. Próbował również swych sił w wodewilu. Zaciągnąwszy się do wojska, ozdabiał swój ambulans rysunkami, które utwierdzały francuzów w przekonaniu, że amerykanie to warjaci. Po wojnie ilustrował ogłoszenia produktów rolniczych: rysował kury w gniazdach, pełnych aż po brzegi jajek, z których wykluwały się dolary. Potem robił klisze ogłoszeniowe do kin; a ile razy przyszedł mu jakiś pomysł ożywienia tych tematów, pracodawcy dawali mu aparat fotograficzny do domu dla dokonywania doświadczeń.

Mając garaż zamiast pracowni, zaczął robić filmy rysunkowe, które następnie sprzedawał miejscowym kinematografom po 30 centów za stopę (około 30 centymetrów). Dziś jedna stopa filmu z Mickey Mouse kosztuje 25 dolarów!

Próbował robić bajki rysunkowe. Stworzył „Czerwony Płaszczyk Nieprzemakalny"... „Płaszczyk" natchnął go myślą rzucenia dotychczasowego zajęcia i zawiązania spółki. Sprzedała ona swoje filmy pewnej firmie nowojorskiej, która zbankrutowała i zerwała spółkę Disney'a.

Na podróż do Kalifornji zarobił rysowaniem filmów dzieci i sprzedawaniem aparatów ich rodzicom. W r. 1923 przybył do Hollywood, mając przy sobie materjały rysunkowe i 40 dolarów w kieszeni. Nieboszczka-firma nowojorska pozwoliła mu wziąć ze sobą odbitkę jego ostatniego obrazu, nie znalazł jednak dla niego



w Hollywood rynku zbytu. Po bezcelowej włóczędze po studjach, przyszedł do „Wschodniego Filmu". Po całotygodniowych wyczekiwaniach uzyskał kontrakt na nowy temat, nazwany „Alicją". Wykonał sześćdziesiąt filmów z „Alicją", potem stworzył Oswalda-Królika, który istnieje po dziś dzień.

Kiedy Oswald zaczął przynosić pewien dochód, Disney, bawiąc podówczas w Nowym Jorku, poprosił o trochę pieniędzy w celu ulepszenia tego filmu. Filmowcy odmówili, rozstał się więc z nimi. W pociągu, zmierzając znów do Hollywood, starał się wymyśleć jakiś nowy typ. Przypomniał sobie myszkę, którą uczył siedzieć na biurku podczas swej pracy — myszkę o pewnej indywidualności. Postanowił pokazać ją na ekranie. Razem ze swą żoną, która była przedtem jedną z jego pracownic, naszkicował pierwszy scenarjusz nowej serji, a przybywszy do Hollywood, miał już gotowe dzieło.

Nazwali tę postać „Mortimer", ale nie wydało im się to odpowiednie. Wreszcie wynaleźli Mickey. Ukochaną Mickey nazwali Minnie. I znów garaż stał się przystanią sztuki i tam, Disney, wraz ze swym bratem, Roy'em, dyrektorem przedsiębiorstwa, oraz Ubb Iwwerks'em w charakterze pomocnika, wieczorami rysował Mickey, a w dzień wypełniał umowę na Oswalda. Nie przewidywał, że Mickey uzyska taką popularność, jaką cieszy się dziś, ani nie marzył o zreformowaniu sztuki rysunkowej. Chciał tylko zarobić na utrzymanie.

Mickey urodziła się w roku 1927, w tym samym czasie, kiedy film zaczął do nas przemawiać. Wtedy Disney uzupełnił ją „Głupiemi Symfonjami", aby dostarczyć udźwiękowionego filmu teatrom, którym konkurencja nie pozwalała na kupno Mickey.

Taka jest historja początku karjery Walt'a Disney'a. Zanim przeniósł się do swej obecnej wytwórni — która kosztowała 150.000 dolarów — cierpiał głód, mieszkał z bratem w jednym pokoju, gdzie gotowali i spali i „prowadzili" biuro, i którego czynsz wynosił 5 dolarów miesięcznie. Wszystko to jednak było tylko zabawne, zdarzyło się bowiem w latach młodości.

Znajomi Disney'a twierdzą, że różni on się mało od walczącego artysty sprzed pięciu lat. Ma w Hollywood swój dom na wzgórzu, z ogrodem i basenem do kąpieli. Pływanie, ślizgawka, polo i konna jazda — oto jego rozrywki. Bierze niewielki udział w nocnem życiu Hollywoodu, czuje bowiem, że brak snu obniży poziom jego pracy. Wiedząc również, że nieprzerwane napięcie fatalnie wpływa na pracę, wymagającą inteligencji, humoru i wyobraźni, Disney udziela swym artystom i pisarzom dwóch dni urlopu na tydzień. Dąży do tego, by tak wynagradzać swych pracowników, aby mogli oszczędzać na starość i korzystać z życia póki czas. Powodzenie niema wartości, — powiada — jeśli w średnim wieku straciło się zdrowie.

Disney niezbyt interesuje się książkami, lubi zato sztuki kuglarskie i przedrzeźnianie. Często zabawia swych pracowników nowemi sztuczkami lub naśladowaniem jakiejś nowopoznanenej osoby. W swej pracowni spędza ze swymi pisarzami i artystami dużo czasu nad scenarjuszami. W biurze jego brak zupełnie tego przepychu, jakim zwykle lubią się otaczać potęgi Hollywoodu. Tylko z jednej ściany Mickey i Minnie spoglądają na niego i na jego ciemnodębowe biurko.

Tam też, mówiąc o sobie i swem powodzeniu, zachowuje niemal zupełną obojętność, ożywia się jednak i zapala omawiając jakiś obraz albo jego treść; twarz jego zmienia się błyskawicznie. Dziennikarze pytający go o „podniesieniu poziomu ekranu" męczą go i nie lubi pochwał. O wszystkiem innem mówi śmiało i otwarcie.

— Co myśli o humorze?

— Najwłaściwszą komedją dla ekranu jest komedja wzrokowa, — oświadcza. Odbicie uczuć ludzkich zapomocą bezdusznych przedmiotów, jak naprzykład łopat mechanicznych albo foteli na biegunach wywołuje niezawodny śmiech. Rozpacz ludzka, naśladowana przez zwierzęta, zawsze wzruszy. Ptak — podskakujący po połknięciu konika polnego jest naturalnym komikiem. Niespodzianka jest zawsze pobudką do śmiechu. Dążymy, o ile się da, do wywołania kolejnych wybuchów śmiechu zapomocą kawałów, potem zaś raptownie zmieniamy sytuację.

— Humor jest czemś, co się ma, albo czego się niema. Sprowadziliśmy raz profesora, aby wygłaszał naszym pracownikom odczyty o psychologji humoru, musieliśmy jednak z tego zrezygnować: nikt z nas nie wiedział, o czem mowa. My tworzymy jaknajbardziej ludzkie typy, tak, aby wszystko, co robią, wydawało się widzowi jaknajlogiczniejszem. Ja robię kawały, psychologję zaś zostawiam innym.

— Co uczyniło Mickey postacią o wszechświatowej sławie? Nie wiem. Może jej indywidualność. Zagranicą wolą nasze rysunki od głównego obrazu; sądzę więc, że rysunki są czemś, co każdy lubi i rozumie. Wszyscy odczuwają chyba, że dążymy do tego, by dać im dzieło wartościowe.

— Wybieramy i zatrudniamy najzdolniejszych ludzi; zdolności ich przejawiają się zresztą w obrazach. Żałuję, że nie mogę pochwalić każdego zoddzielna, ale każdy nasz obraz, to produkt setek umysłów Jest to twórczość prawdziwie organizacyjna. Może zagranicą przypuszczają, że to wszystko robi jeden człowiek i są tem olśnieni... Mylą się jednak.

Mickey Mouse mówi teraz po hiszpańsku i francusku, wkrótce zaś przemówi po niemiecku. Na Wschodzie i innych dalekich krajach umieszcza się napisy w rodzimych językach, kiedy sytuacja tego wymaga; gdzieindziej wyświetla się wersje angielskie, a klienci lubią je i rozumieją. Opowiadają, że Douglas Fairbanks odniósł zwycięstwo nad tłumem zbuntowanych dzikusów — swych pomocników — przez pokazanie im filmu z Mickey. Uznali w nim wtedy swego przyjaciela.

— Proszono nas o wykonanie „Alicji w krainie czarów" z Mary Pickford. Zaniechaliśmy jednak tej myśli, nie mamy bowiem czasu na ten film, którego wykonanie musi trwać osiemnaście miesięcy. Pracujemy teraz nad podobną historją; weźmie w niej udział orkiestra symfoniczna w pełnym składzie i doskonali śpiewacy. Film ten kosztować będzie przypuszczalnie ćwierć miljona. Musimy być go zupełnie pewni, gdyż jeśli nie będzie dobry — zniszczymy go. O ile okaże się dobry zarobimy na tem najmniej miljon dolarów.

*

Życie domowe tych cudownych dzieci kinematografu, Mickey i Minnie jest bardzo miłe. Posiadłość ich wychodzi na szeroki bulwar. Z frontu mieszczą się biura, za któremi, okalając zielony dziedziniec, mieszczą się gabinety i pracownie, gdzie pisarze i artyści wymyślają kawały tej parki.

Źródłem powstawania większości pomysłów jest bibljoteka bajek i muzyki ludowej. Pewna grupa pracowników za jedyne zajęcie ma dostarczanie pomysłów, które przejrzane przez Disney'a i jego dwóch czy też trzech wspólników, przechodzą do wydziału scenarjuszy. Tam zamieniają się w manuskrypt z wyraźnie zarysowanym biegiem akcji, ułożeniem i kolejnością scen. Każdy z członków — wykonawców tego utworu otrzymuje kopję takiego szkicu i po upływie dwóch tygodni musi zwrócić go wraz ze swemi pomysłami i kawałami. Wydział scenarjuszy wybiera z nich te, które chce, sporządza nowy manuskrypt — rzecz, która ukaże się na ekranie.

Stworzenie filmu rysunkowego jest sprawą czysto-mechaniczną. Obraz ma mieć 630 stóp (ok. 190 metrów) i trwać ma siedem minut; znaczy to, że trzeba zrobić 10.080 rysunków. Ekwipunek dźwiękowy jest bardzo dziwny. Puzon jest aeroplanem a gwałtowne pukanie w melonik naśladuje motorówkę. Pocieranie szczypty piasku we wgłębieniu dłoni tuż przed mikrofonem daje olbrzyma jedzącego marchew.

Artyści rysują ołówkiem każdą scenę, która potem bywa sfotografowana i przejrzana. Tło przygotowują również artyści; ustawiają je, jak dekoracje sceniczne, aby działające postacie miały swobodę ruchów.

Rysunki bywają wykonane na 7 — 9 calowym arkuszu papieru. W kreślarni dziewczęta na każdy z takich arkuszy kładą arkusz celuloidu i odrysowują na nim chińskim tuszem postacie z papieru, następnie, inne dziewczęta odwracają arkusz celuloidu i malują postacie szarą lub czarną farbą, aby uczynić je nieprzezroczystemi.

Kiedy wszystkie rysunki na celuloidzie zostały już skończone — posyła je się do sali zdjęć. Aparaty umieszczone są na stołach, oświetlonych kulami napełnionemi rtęcią. Przedewszystkiem ustawia się tło, następnie „cel" (celuloid) z Mickey, potem z Minnie, trzeci z „nikczemnikiem", czwarty zaś czysty Wsuwa się je za haczyki, które utrzymują je w idealnej kolejności. Dla oka i objektywu cały obraz wygląda, jak jeden arkusz. Na rysunki kładzie się i przyciska klamrą szklaną taflę, która wygładza zmarszczki; dłoń operatora dotyka głównego guziczka aparatu, słychać trzask, soczewka mrugnie spod klapki, maleńki dzwoneczek zadzwoni, zgęszczone powietrze unosi taflę szklaną i fotograf wysuwa „cel'e", by zastąpić je innemi, następnemi ruchami.

W ciągu siedmiu minut fotograf powtarza te opracowane ruchy 10.080 razy.

* *

„Mickey Mouse" jest sztuką, a Walt Disney — człowiekiem „Cechu Pracowników Sztuki" — jedynym, tak zaszczyconym producentem filmowym. Pracuje jednak na utrzymanie, a dzieło jego jest tworem matematycznym.

„The New York Times Magazine", Nowy Jork.

Moskiewski „Mickey Jeż"

Nowa rosyjska imitacja Mickey Mouse (reprezentowanej przez jeża) nie wywołuje zachwytów widowni proletarjackich.

O trudności wszczepienia życia, rytmu i dowcipu czarno-białym rysunkom można sądzić na podstawie niepowodzeń szeregu anglo-saskich imitacyj. Rosjanie, naogół niebardzo dowcipna rasa, za wyjątkiem Czechowa i jeszcze dwóch lub trzech, nie mogą liczyć na to, że odniosą na tem polu wielkie sukcesy. W każdym razie artyści będą handicap'owani koniecznością nadawania wyczynom swoich Mickey Jeży znaczenia propagandowego.

„Daily Telegraph", Londyn.



VAL GIELGUD

U K R O P

Autor tej noweli, znany pisarz angielski, jest pochodzenia polskiego. Nazwisko jego brzmi właściwie: Gielgud. Brat jego jest wybitnym aktorem, cieszącym się wielkiem powodzeniem na scenie londyńskiej.

— Wszelka służba szpiegowska — rzekł Kazimierz Sipiagin, — musi być albo przeraźliwie monotonna, albo oburzająco podła, albo niewypowiedzianie tragiczna. Co do mnie — nienawidzę nudy, brzydzę się podłością i uważam, że niebardzo mi do twarzy z tragizmem.

Siedzieliśmy przy małym stoliku przed kawiarnią na Avenue du Bois de Boulogne. Był piękny dzień kwietniowy, jeden z tych dni wiosennych, podczas których Paryż dosłownie tonie w słońcu.

Mała notatka w gazecie dała nam asumpt do rozmowy o szpiegach. Milicja faszystowska zaaresztowała w najmniej pożądanej okolicy Alp pewnego, oczywiście, francuza, z przyjaciółką oczywiście piękną i energiczną i wytoczyła mu sprawę o szpiegostwo. Zapytałem Kazimierza o zdanie jego w tej sprawie, ponieważ jest to jedyny z moich znajomych, który sam był kiedyś szpiegiem.

Było to dosyć dawno temu, w r. 1919, kiedy po przymusowej ucieczce z Rosji zaciągnął się do polskiej służby i został szefem granicznej centrali wywiadowczej, prowadzącej wywiad przeciwko bolszewikom.

— W monotonję i podłość mogę uwierzyć, — powiedziałem, kiedy kelner przyniósł nam trunki, — ale wybacz mi, jeżeli tragizm zrzucę na karb twej słowiańskiej skłonności do dramatyzowania życia.

Kazimierz podniósł brwi.

— Ze też ośmielasz się twierdzić tak właśnie w Paryżu! Czyżbyś zapomniał o Dreyfusie? Czy zapomniałeś, że była to tragedja, która na okres blisko dziesięciolecia, wypełniła sobą historję Francji? Ale ja nie miałem na myśli tragedji na wielką skalę. Myślałem o całkiem małej, malutkiej, o mojej własnej.

Starałem się mu nie przerywać, kiedy umilkł na chwilę, żeby zapalić papierosa.

— Nie przypuszczam, żebyś znał Litwę, mój drogi — ciągnął dalej. — W tym okresie roku 1919, o którym ci już pewno opowiadałem, miałem główną kwaterę w pewnym hotelu w Kownie. Szkoda, że nie znasz tego hotelu, ty, który tak uwielbiasz bar u Ritza. Był to budynek, w którym można było z trudem spać i jeść. Szyby w oknach wszystkie były wybite, pozostały tylko na szczęście drewniane okiennice. Urządzenia były dosyć nowoczesne, ale wody nie było nawet w łazienkach. Myślę, że nie mógłbym się do tego przyzwyczaić, gdyby nie okoliczność, że moi agenci byli przeważnie żeńskiego rodzaju —

Zdaje się, uśmiechnęłem się dyskretnie. Ale kiedy dokończył zdania, uśmiech mój odrazu znikł.

— i że przyjąłem służbę z nienawiści!

Na tle Paryża i w jasnem świetle słonecznem, słowa te brzmiały bardzo melodramatycznie, ale oczy Kazimierza zatraciły wesoły blask.

— Były to przeważnie kobiety, — powtórzył wolno. — Zebrałem ich blisko dwanaście w Warszawie. Były to przystojne dziewczyny, niektóre z arystokratycznych rodzin, inne z burżuazyjnych, które wszystko straciły w Rosji i które w ten sposób chciały się „odegrać." Rozsiałem je po przeciwnej stronie granicy, przeważnie w charakterze bon i maszynistek, sam zaś urządziłem się w Kownie.

— Pozwól mi opowiedzieć ci nieco szczegółowiej o moim hotelu. Miałem tam na pierwszem piętrze trzy pokoje w amfiladzie, o jednych tylko drzwiach na korytarz. Po przeciwnej stronie korytarza była łazienka, w której stała piękna wanna, ale, zapamiętaj sobie, że wody nigdy nie było.

— W ostatnim z trzech pokojów była moja sypialnia, w środkowym spał szofer, a w pokoju najbliższym drzwi mieściło się biuro — ponieważ uchodziłem za ekscentrycznego, ale przedsiębiorczego komiwojażera.

— Rzecz jasna, że pokoje nigdy nie były puste; kiedy wychodziłem, na straży zostawał szofer, ponieważ posiadałem pewną rzecz, której nie mogłem nosić przy sobie, a którąby mnie odrazu mogła zdradzić. Rzecz tę trzymałem w pudełku w kącie pod łóżkiem, a klucz nosiłem na łańcuszku na szyi.

Przerwał i sięgnął do kieszeni marynarki.

— Mój dalej, — powiedziałem.

* * *

— Myślę, że ciekawe opowiadanie powinno mieć ilustracje, — rzekł Kazimierz. — Spójrz na to.

Wyciągnął portfel i wyjął zeń zdjęcie, które mi podał. Była to fotografja bardzo pięknej dziewczyny. Twarz w rodzaju tych, z jakiemi zaznajomiły nas rosyjskie balety: oczy wielkie, szeroko osadzone; drobne, bardzo regularne, trochę wschodnie rysy; włosy gładkie i ciemne z przedziałem pośrodku. Dziewczyna uśmiechała się na fotografji sponad dużego kołnierza futrzanego. Wyglądała na dziewiętnaście lat.

— Ta była najzdolniejsza ze wszystkich, mówił Kazimierz. — Na imię miała Tatjana i była córką bogatego kupca z Moskwy, którego zastrzelili czerwoni. Wystarała się sama o posadę stenotypistki u komisarza politycznego Czternastej Armji Sowieckiej. Potem, pracowała u mnie przez kilka tygodni w charakterze osobistej sekretarki, póki nie wyjechała spowrotem do Rosji. Lubiłem ją bardzo.

Nie potrzebuję zaznaczać, że ona i inne agentki odwiedzały mnie w Kownie bardzo rzadko. Uciekaliśmy się do tej ostateczności tylko w wypadkach pierwszorzędnej wagi, tak dla mojego, jak i dla ich bezpieczeństwa. Zdaje mi się zresztą, że Tatjana była jedyną, która tę ze wszechmiar niebezpieczną podróż przedsięwzięła dwa albo trzy razy. Przyjeżdżała poczęści dlatego, że dzięki swemu stanowisku miała lepsze i istotniejsze informacje, niż inne agentki, a poczęści dlatego, że chciała mnie widzieć.

Zdarzyło się raz, że wyjechałem z Kowna na dwu lub trzydniową podróż w pewnej błahej sprawie, która niema nic wspólnego z tem, o czem opowiadam. Wybrałem się w przerbaniu chłopa. Pogoda była straszna. Wróciłem do hotelu późno wieczorem, bardzo zmęczony, niesłychanie brudny i zły. Lampy naftowe w brudnej hali hotelowej brzydko pachniały; czułem się smutny i zgnębiony.

Zawołałem gospodarza, starego żyda i kazałem mu zagotować wodę i przynieść mi do łazienki jaknajprędzej. Potem powlokłem się po nawpół ciemnych schodach do siebie. Na górze natknąłem się na szofera, który słyszał mój głos i wyszedł mi na spotkanie.

— Jest tutaj panna Tatjana, — powiedział. Spojrzałem na niego w osłupieniu.

— Jest tutaj, proszę pana, w ostatnim pokoju — powtórzył.

* * *

Tatjana siedziała na mojem łóżku. Nie zdjęła futra, co było zrozumiałe wobec panującego w pokoju zimna; czapka jej futrzana i rękawiczki leżały obok niej. Wysokie jej buty były powalane błotem; sprawiała wrażenie równie zmęczonej, jak ja. Paliła papierosa, patrząc nieruchomo przed siebie.

Usiadłem obok niej na łóżku.

— Co się stało? — spytałem.

Wyobrażam sobie, że musiałem być zdenerwowany. Mimo to pogładziła mnie po dłoni, a ja zauważyłem, że ręce jej są bardzo gorące.

— Co się stało? — powtórzyłem. — Czyś chora?!

Potrząsnęła głową.

— Nie, Kazimierzu, nie jestem chora. Zaledwie trochę zmęczona. Przebierz się i wykąp się spokojnie. Słyszałam przecież, jak wołałeś o wodę.

— Ale przecież, — zacząłem.

Wstała i podeszła do drzwi mojej sypialni.

— Przez ten czas uporządkuję trochę moje myśli — powiedziała z dziwnym uśmiechem i wyszła.

Przypomniałem sobie wtedy, że z podróży przywiozłem krótką listę osób podejrzanych, które rząd polski powinien był w najszybszym czasie zamknąć pod klucz. Włożyłem zatem listę do koperty, zaadresowałem do polskiego komendanta i kazałem szoferowi bezzwłocznie mu ją osobiście doręczyć. Potem rozebrałem się szybko, narzuciłem szlafrok z wielbłądziej sierści i wyszedłem z sypialni.

* * *

— Pamiętaj, nie wychodź — powiedziałem Tatjanie, kiedy przechodziłem przez pokój szofera, — tak długo przynajmniej, aż Stefan nie wróci — i wyszedłem na korytarz, kierując się do łazienki.

Stary żyd okazał się niezwykle gorliwy. Wanna była do polowy napełniona, a cały pokój tonął w parze. Zrzuciłem szlafrok, zgóry ciesząc się na myśl o zanurzeniu się w wodzie, o tej niezwykłej rozkoszy fizycznej, jaką może dać kąpiel człowiekowi pozbawionemu przez kilka dni gorącej wody.

I naraz uprzytomniłem sobie dwie rzeczy. Dużego dzbanu zimnej wody, zazwyczaj stojącego obok wanny nie było na zwykłem miejscu, na szyi zaś nie miałem łańcuszka z kluczem od pudełka z szyframi. Przez chwilę wydało mi się, że serce mi bić przestaje, ale zaraz przypomniałem sobie, że szybko zdejmowałem ubranie i że przy ściąganiu koszuli czułem jak się łańcuszek zaczepia. Musiał zatem leżeć gdzieś w sypialni z brudną bielizną.

Nie przypuszczam, że myślałbym o tem dalej, gdyby nie brak zimnej wody. Prawdopodobnie wykąpałbym się spokojnie, i zmieniając bieliznę, poszukał łańcuszka. Zresztą pokój mój nie był pusty. Ale człowiek nawet najbardziej spragniony kąpieli nie może wejść do wanny z ukropem.

Głośno rzuciłem przekleństwo pod adresem żyda, włożyłem szlafrok i bardzo niechętnie wyszedłem z ciepłej łazienki do zimnej sypialni, gdzie, jak wiedziałem, stał w pękniętej miednicy dzban zimnej wody... Jednocześnie mogłem poszukać łańcuszka. Na nogach miałem ranne pantofle o filcowych podeszwach, a drzwi zwykłem był otwierać cicho, jak przystało na członka służby wywiadowczej...

Zapewne domyślasz się, co ujrzałem w sypialni, ale dla mnie był to widok straszny. Przyznałem ci się, że lubiłem Tatjanę, żem się jej podobał; ale nie mówiłem ci dotąd, gwoli dyskrecji, tak w Anglji w stosunku do kobiety koniecznej, że w czasie naszego pobytu w Warszawie, byliśmy kochankami, mimo że stosunek nasz trwał krótko. Skończył się, rosyjskim zwyczajem, na jej żądanie, ale kochałem ją jeszcze nadal.

Możesz sobie wyobrazić, przyjacielu, że krew mi nabiegła do oczu, że zbrakło mi tchu w piersiach, kiedy stojąc w drzwiach sypialni, ujrzałem Tatjanę klęczącą i tyłem do mnie zwróconą. Pudełko z szyframi stało na łóżku i właśnie starała się je otworzyć kluczykiem z mojego łańcuszka.

* * *

To, co robiła, było zupełnie jasne. Żadnemu z moich agentów, nawet jej, której najwięcej ufałem, nie wolno było dotykać szyfrów. Znaczyło to zdradę, nietylko zdradę naszej sprawy — bo tę mógłbym jej wybaczyć, zwłaszcza, żeśmy oboje byli sprzedajni i służyli dla własnych celów obcemu państwu. Zdradziła jednak także i mnie — mnie, który ją kochał bardziej, niż chcę dziś pamiętać.

Kiedy tak stałem bez ruchu i wspominałem to mieszkanie, które dzieliliśmy w Warszawie i ów stolik w Astorji, przy którym codziennie jedliśmy obiady i tysiąc innych drobiazgów, które nas łączyły — kluczyk zazgrzytał ostro w zamku pudełka, a mnie wydało się, że zgrzyt ten mózg mi rozsadzi.

Tymczasem pudełko było już otwarte; zdaje mi się, że coś wówczas powiedziałem. Nie pamiętam. Ona odwróciła się bowiem i zobaczyła mnie i resztki krwi uciekły jej z twarzy, i stała się szara jak papier. Kluczyk zsunął się na podłogę. Nie mogłem mówić. To co czułem nie dałoby się wyrazić słowami. Machinalnie podniosłem klucz, zamknąłem przeklęte pudło, wsunąłem je spowrotem pod łóżko i zawiesiłem łańcuszek na szyi. Przez cały ten czas dziewczyna siedziała skulona koło łóżka. Miała rozchylone wargi, a oczy utkwione we mnie.

W tej samej chwili usłyszałem w najdalszym pokoju kroki szofera, który wracał. Nadarzała mi się sposobność, żeby zyskać na czasie i zastanowić się nad tem, co należy uczynić.

— Stefanie, — zawołałem i ledwie poznałem własny głos, — Stefanie! Idę do kąpieli. Proszę poczekać w swoim pokoju, aż wrócę. Panna Tatjana zaczeka w biurze. Nie chcę, żeby ktokolwiek wiedział, że jest tu u mnie, dlatego zamknę na klucz drzwi od korytarza.

Chwyciłem dzban z zimną wodą i przeszedłem do ostatniego pokoju; Tatjana szła przede mną. Nie spojrzała się na mnie więcej, nie powiedziała nic; spokojnie usiadła na stole, który mi służył za biurko i zapaliła papierosa. Zamknąłem drzwi pokoju za sobą i wszedłem do łazienki.

* * *

Zastanawiam się dotychczas, co byłbym zrobił — czy wydałbym ją w ręce polskiej żandarmerji — czy mógłbym spełnić ten okrutny obowiązek? Zastanawiam się dotychczas, bo dopiero w wiele tygodni później dowiedziałem się, że zmuszono ją do zdrady zwykłym bolszewickim sposobem. Matkę jej trzymano jako zakładniczkę, grożono rozstrzelaniem tej sześćdziesięcioletniej staruszki, jeżeli dziewczyna nie spełni, czego od niej żądano.

— Jedyne co wiem — i do tej pory składam bogom za to dzięki — to, to że nie musiałem sumienia swego narażać na próbę. Leżałem jeszcze w gorącej wodzie, — w tej wodzie, która odegrała tak wielką rolę — kiedy usłyszałem huk rewolwerowego strzału; odgadłem, że Tatjana uczyniła dla mnie ostatnią ofiarę. Przypomniałem sobie, że kiedy po raz pierwszy wchodziłem do mieszkania, przewiesiłem przez poręcz krzesła, stojącego przed biurkiem, mój skórzany pas z rewolwerem...

Sipiagin odwrócił się gwałtownie i skinął na kelnera; twarzy jego nie mogłem widzieć.

— Tragedja czy farsa, mój drogi? — powiedział. — Nie staram się dociec tego, zanadto się ze sobą splatają. Ale takie jest życie.

Strzepnął popiół palcami i wypuścił długi słup dymu w słoneczne powietrze.

— Właśnie takie.

„The Daily Express", Londyn.

Rozwody amerykańskie

Niema bardziej pasjonujących tematów, jak małżeństwa arystokratów, lub rozwody aktorek. Czy Miss Katharine Hepburn, niezwykle sławna gwiazda amerykańska, poślubi bogatego i zarazem dobrze urodzonego Leland'a Hayward, po rozejściu się ze swym byłym mężem Ogden'em Ludlow Smith?

Mr. Hayward dopiero co się rozwiódł. W jakim celu więc, jeżeli nie poto, by zmienić żonę?

Miss Hepburn zarzucają pytaniami, ona zaś odpowiada z impertynencją.

Jeszcze jeden niebywale interesujący temat: Czy księżna Alexis Mdivani, urodzona Barbara Husson, spadkobierczyni miljonów Woolworth, będzie się osłaniać prowizoryczną wolnością, by czekać na lepsze szczęście? Bezpośrednio po swem przybyciu do Londynu przy boku swego męża, młoda księżniczka przywołała swego ojca w pilnej sprawie. Ten zostawił swe interesy, by się jaknajprędzej zjawić. Mówią wiele o tajemnych spotkaniach ojca z córką. Zarzuca się księciu, że poświęca więcej uwagi swoim koniom, kupionym za miljony żony, aniżeli Barbarze. Od dnia ślubu, zeszłego czerwca w Paryżu, pożycie małżeńskie nigdy nie było zgodne.

Ile plotek, ile gadanin na widoku! Szczęśliwy naród, szczęśliwi dziennikarze!

„Je suis partout", Paryż.

Berliński odczyt prof. Tadeusza Zielińskiego

Profesor Zieliński, filolog klasyczny z Uniwersytetu Warszawskiego, uczony o europejskiej sławie, wygłosił w starej Auli Uniwersytetu Berlińskiego odczyt na temat „Chłop polski w historji ducha polskiego"

Prof. Zieliński nawiązał w swym odczycie do postawy duchowej starożytności. Ten, niejednemu słuchaczowi wydający się dziwny, nakład drogi od Aten i Rzymu do pól nad Wisłą, znalazł w mistrzowskim wykładzie Zielińskiego swój sens i swoje usprawiedliwienie. Wykazuje on, że idealizowanie życia wiejskiego i pasterskiego, dominujące w literaturze klasycznej (by wymienić tylko Wergiljusza), aż do czasów aleksandryjskich, stale powraca jako pierwowzór, świadomie czy nieświadomie. I nietylko w literaturze pierwowzór grecki pozostał żywy. Szkoła Cyników, która w prostocie życia wiejskiego (albo, ponieważ rodzimych chłopów mało znano, w idealizacji „ludów barbarzyńskich", Scytów i Germanów) widziała ideał form życiowych, wywarła, zdaniem profesora Zielińskiego, poprzez Galileę, przepojoną wpływami ducha greckiego, istotny wpływ na zasadnicze myśli chrześcijaństwa.

I stale, jak wykazuje prof Zieliński, ilekroć nastąpiło oderwanie się warstw „duchowych" albo intelektualnych od rzeczywistości życia wiejskiego, odradzała się stara iluzja wergiljańska, która idealizuje chłopa i jego życie we wszystkich kierunkach. Ta idealizacja wynika z niezdolności jej promotorów do ujmowania właściwemi kategorjami racjonalnemi istoty bytowania ludu wiejskiego. Że ta iluzja wergiljańska jest nietylko miłem łudzeniem się, sublimowaniem cuchnącej potem a czasem i krwią niebardzo miłej rzeczywistości, że ona zawiera w sobie pewne niebezpieczeństwa, wykazał prof. Zieliński na przykładach literatury rosyjskiej w okresie od Turgenjewa do Tołstoja, tego „największego i najniebezpieczniejszego z iluzjonistów tego rodzaju"

Poeci, pisarze i publicyści idealizowali od końca XVIII w. chłopa rosyjskiego, w celu zwalczania poddaństwa i wykazania, że chłop już dojrzał do wolności. Ta postawa duchowa, była decydująca i w Polsce, której lud wiejski pozostawał w polityczno-społecznych warunkach rosyjskich. W Rosji powstała od roku 1917 reakcja przeciw temu złudzeniu. Romantyki sielankowej pozbyto się już ostatecznie.

Świetna i w krótkich słowach wyrażona, analiza niektórych polskich utworów literackich, których temat traktuje życie ludu wiejskiego, stanowiła ukoronowanie wykładu uczonego warszawskiego. Prawdziwą rozkoszą intelektualną było przeżyć z nim jeszcze raz „Chłopów" Reymonta, które to dzieło w mistrzowskim przekładzie Oppeln - Bronikowskiego, jest cennym nabytkiem literatury niemieckiej.

Życie, które jeszcze posiada formę i treść, niesione przez nurt, zespalający w sobie podwójny rytm — pór roku i świąt, prac i zabaw— oto obraz chłopa polskiego, który, nieobciążony idealizacją romantyczną, wyłania się dzięki kongenjalnemu ujęciu prof. Zielińskiego, z dzieła Reymonta.

„Berliner Tageblatt" Berlin.

Autobiografja H. G. Wellsa

H. G. Wells, w swem mieszkaniu w Londynie, wygląda znacznie młodziej, niż na swe sześćdziesiąt siedem lat. Jego dwutomowe dzieło „Experiment in Autobiography" ukaże się w pierwszych dniach jesieni, nakładem Victora Gollaneza i „Cresset Press".

Wells, jeden z najlepszych i najbardziej elokwentnych rozmówców, kpił sobie z autora tego wywiadu za to, że go prosił, aby naprzód o tem coś powiedział.

— Tak, nienawidzę tego. Sprawia mi to wielką przykrość. Napisałem autobiografję — i to wszystko! Cóż można powiedzieć więcej?

— Biografja sięga czasów obecnych. Najciekawszą połową życia powinna być — biorąc psychologicznie — pierwsza jego połowa. Wszystko, co się zdobyło — zdobyło się w owym czasie. Reszta jest tylko opracowaniem — spełnieniem. Sir James Barrie powiada że gdy się skończy lat dziewięć — nic się już więcej nie zdarza. Dodźyłbym coś do tego — powiedzmy — do lat trzydziestu. Od tego czasu nic mi się więcej nie zdarzyło

KONTAKT OSOBISTY.

— Czy tytuł Balzakowski „Stracone Złudzenia" byłby do tego odpowiedni? — zapytałem.

— Ach, Boże, nie! — odparł Wells. — Po pierwsze nie jestem pewien, czy od początku miałem jakieś złudzenia. Pyta pan, czy będą tam jakieś dowcipy? Nie wiem. To nie jest dzieło komiczne — ani zbiór anegdotek. Jest to zdawanie sprawy z szeregu kontaktów osobistych i doświadczeń, oraz szkice tych ludzi, którzy wpłynęli na mój rozwój: nauczycieli szkolnych i uniwersyteckich. Jest to opowieść o dniach, kiedy sam uczyłem innych, kiedy wygłaszałem odczyty; o tem, czego się nauczyłem — ucząc innych, jak zacząłem pisać i jak nauczyłem się pisać; o Bernardzie Shaw, o Henryku Webbs'ie, o Grahamie Wallas, Gissingu i Henry James'ie.

— Mając przeszło trzydzieści lat stykałem się często z Henrykiem James'em, Conradem i Bennett'em, dzieliłem się z nimi myślami i komentarzami. W autobiografji ta wymiana myśli skolei obejmuje komentarze o nich wszystkich.

— Przeżyłem — oświadczył Wells — nadzwyczajne zmiany w życiu Anglji. Kiedy się urodziłem, w roku 1866, większość ludzi nie umiała czytać, albo nie czytała wcale. Nie odczuwało się wtedy skutku wpływu dróg żelaznych i telegrafu. O Japonji, naprzykład, myślało się jak o kraju z innego świata. Potem nastąpił chaos — wojna; Anglja przeszła przez nieprzewidziane wysiłki ekonomiczne. Przeżyłem zupełne zmiany w biegu spraw ludzkich i konsekwencje tych zmian.

— Zadowolony jest pan z tego?

— Naogół tak, — rzekł Wells. — Z wyjątkiem dnia dzisiejszego, dnia wywiadu z panem, była to bardzo miła przygoda. I mam nadzieję, że okaże się to w książce, która niecała jest psychologją osobistą i społeczną. Byłem o włos od skrajnej nędzy i beznadziejności. Wiele z tego wspomniane jest w listach i rysunkach, które ukażą się w książce. Przeszło trzydzieści lat pisałem coś w rodzaju pamiętnika rysunkowego, chcąc tem zabawić siebie i moją żonę.

— Cały czas od r. 1894 aż do tygodnia, w którym zmarła, rysowałem te obrazki. Czynność ta zajmowała mi pewną część dnia — większości dni — notowała wizyty i myśli, ludzi i podróże zagranicą. Uważam, że przyglądanie im się przenosi mnie lepiej niż wszystko inne w nastrój owych czasów. Nie są one klasycznie narysowane — nie uczyłem się nigdy w szkole sztuk pięknych — i można je nazwać przenośniami albo symbolami. Wynalazłem rodzaj własnego rysunku, który oddaje to, co należy, w każdym razie, o ile to dotyczy mnie...

— Czy najgorsze już przeszło?

— Dlaczego ja tak nie lubię wywiadów? Ponieważ — jeśli reporter nie zdaje sprawy z tego, co mu się powiedziało, — czyni źle, a jeśli donosi to, co usłyszał — powiada się, że jest jeszcze gorzej...

W każdym razie wraz z końcem wywiadu z serca Wellsa spadł ciężar i rozmowa popłynęła znowu wartko, dotykając najróżniejszych tematów.

„The Observer", Londyn.

Awans

Baron de Sarrail, generał francuski i naczelnik sił zbrojnych w Syrji, miał wielkie utrapienie z jednym ze swoich żołnierzy. Człowiek ten posiadał wszystkie odznaczenia, jakie żołnierz francuski może zdobyć. Jednak nie mogło być mowy o jego awansie, albowiem stale był pijany.

— Gdybyś się tak nie upijał, powiedział mu baron de Sarrail, byłbyś już dawno sierżantem. Pomyśl tylko, jak czułbyś się jako sierżant

— Sierżant? — odpowiedział strofowany powoli i jąkając się nieco — sierżant? ależ kiedy piję — czuję się jak — jak generał!

„Simplicus" Praga.

„Życie prywatne Sherlocka Holmesa"



Sherlock Holmes.

Ileż to innych postaci z lat dziewięćdziesiątych mają dla przeciętnego czytelnika aktualność Watsonowskiego bożyszcza, które posiada wszelkie cechy prawdopodobieństwa?... Wmurowuje się tabliczki z jego imieniem i nazwiskiem; podróżni, zwiedzający Londyn, ciągną ku północy, szukając numeru 221 B, Baker Street; listy adresowane do niego, ciągle jeszcze przysparzają wiele kłopotów Urzędowi Pocztowemu; lokomotywa, ochrzczona jego imieniem, kursuje między dworcem „Baker Street", a innemi stacjami. Niedawno temu wyszły z druku do użytku szkół niektóre opowiadania o Holmesie, zaopatrzone w odsyłacze, objaśniające „zabytki" wiktorjańskie w rodzaju „hansom'u" (dwukołowa dorożka), „Scotland Yardu", i t. p.

Koniec wieku miał swych mężów stanu, swych poetów i filozofów; któryż z nich nie upodobnił się do widma w porównaniu z trwałą sławą wielkiego Sherlocka? Gdyby nasza cywilizacja uległa jakiemuś wypadkowi, a nasz system notowania zdarzeń — jakiemuś chaosowi — przyszłe lata grzebiąc w tym śmietniku, mogłyby z łatwością dojść do wniosku, że Sherlock Holmes był jedną z czołowych postaci epoki wiktorjańskiej, postrachem złoczyńców, dzielnym, choć niekonwencjonalnym obrońcą uciśnionych, doskonałem świadectwem moralności, prawomyślności narodu angielskiego.

Innym znowu hołdem, złożonym prawdopodobieństwu Holmes'a, jest wywierający ogromne wrażenie tom krytyk, poświęconych jemu i jego pracy.

Autor tomu, Starrett, jest jednym z licznych uczonych, którzy przestudjowali treść i zastanowili się nad problematami jego życiowej kariery — tak, jakby studjowali pochodzenie Odyssei albo identyczność Czarnej Damy.

Wszystko złożyłoby się inaczej, gdyby autor trzymał się swego pierwotnego planu i nazwał swego bohatera „Sherinford Holmes" a Watson'a „Ormond Sacker". Ten drugi tytuł wymaga pewnej charakteryzacji jaka nie odpowiadałaby głupcowi doktorowi, a „Sherinford'a" nie można nawet porównać z żywością i przenikliwością „Sherlocka". Był to trafny wybór; i szczęśliwym zbiegiem okoliczności, sztywna jego sylwetka nie jest sylwetką cudzoziemca z bokobrodami, D. H. Fristona (w pierwszem wydaniu „Znaku Czterech"), ale portretem, którego modelem był własny brat Sidney'a Paget'a. Sir Arthur Conan Doyle miał zamiar uczynić Sherlocka czemś zupełnie innem, czytelnicy jednak byli z niego bardzo zadowoleni. P. Starrett uważa za prawdopodobne, że zniknięcie jego w powieści spotkało się z takim żalem, od czasu kiedy Mała Nell wyryła taki ślad w sercu Anglji i Ameryki.

Holmes musiał zjawić się na nowo, i zjawiał się — może nawet zbyt często. Powrót jego nastąpił w psie Baskerville'ów w roku 1901, a tytuł szlachecki, nadany Conan Doyle'owi w rok potem może być uważany (między innemi) za dowód wdzięczności narodowej za to „wskrzeszenie". Autor przez blisko trzydzieści lat, od czasu do czasu kontynuował ten cykl. Wkońcu „omal nie znienawidził biednego Sherlocka"; publiczność jednak nie chciała tego uznać.

„The Observer", Londyn.

Skandal w Akademji francuskiej

Wybory, które odbyły się niedawno w Akademji, jeszcze raz budzą wspomnienia o tem godnem towarzystwie i o drastycznych wypadkach podczas przyjęcia nowych Nieśmiertelnych w poczet członków Akademji. Początek zeszłego stulecia był szczególnie obfity w tego rodzaju pikantne wypadki.

Najciekawsze — to przyjęcie, a raczej nieprzyjęcie Chateaubrianda.

Jest powszechnie znane, że stosunki między tym ostatnim a Napoleonem były dość napięte. Chateaubriand, wybrany do Akademji na miejsce Marji-Józefa Chenier'a, nie zawahał się w swem przemówieniu, które miał wygłosić na uroczystości przyjęcia, piętnować królobójstwa i sławić wolność.

Napoleon wpadł w gniew i gwałtownemi pociągnięciami ołówka przekreślił je.

Przyjęcie hrabiego de Segur wypadło niemniej pikantnie.

Gdy tylko hrabia Segur począł przemawiać rozległy się na sali szepty, uspokajające „cicho" i śmiechy, doszło nawet do ostrej wymiany zdań. Kobiety były oburzone, bonapartyści protestowali, rojaliści odpowiadali im z godnością, a przestraszeni Akademicy naradzali się między sobą, czy nie mają interwenjować.

Najbardziej frapujące było bezwątpienia przyjęcie Alfreda de Vigny przez hrabiego Molé.

Dla nikogo nie było tajemnicą jak trudno było de Vigny znaleźć się wśród Nieśmiertelnych. Cztery razy zgłosił swą kandydaturę i cztery razy przepadł.

Ktoś inny znużyłby się temi czterema niepowodzeniami, lecz Vigny postanowił dalej próbować szczęścia. Skoro zwolniło się miejsce w Akademji, po raz piąty zgłosił swą kandydaturę i złożył tradycyjne wizyty.

Wreszcie wybrano go do Akademji. Osiągnął swój cel.

Najzaciętszym jego wrogiem był Sainte-Beuve. Mając jakiś bliżej nikomu nieznany; niewyjaśniony żal do poety, zainscenizował małą komedję. Odegrała się ona 29 stycznia 1846 roku. Sainte-Beuve rozpowszechniał misternie pogłoskę, że żądano od poety, by do swego przemówienia wplótł werset na cześć Ludwika-Filipa i że de Vigny odmówił temu w sposób stanowczy. Wówczas rząd prosił hrabiego Molé, by natarł porządnie uszu nowowybranemu Akademikowi.

De Vigny nie wiedział nic o szykującym się spisku. Na uroczystości de Vigny mówił wolno, uroczyście, w sposób troszkę napuszony. „Vigny nie był nikim innym, jak tylko Trissotinem szlachcicem", pisał o nim nazajutrz z sarkazmem Sainte-Beuve. „Ośmieszył się, okazując próżność, która w ciągu godziny grała na nerwach całemu audytorjum. Wreszcie odetchnęło ono z ulgą, gdy głos zabrał Molé, wygłaszając słowa słuszne i proste."

Te słowa słuszne i proste, to była największa uszczypliwość, jaką słyszało się pod sklepieniem Instytutu.

Tonem ostrym i lodowatym hrabia Molé gromił wszystkich poetów romantycznych w osobie jednego z ich najsławniejszych reprezentantów.

Oto fragment jego przemówienia:

„Pan jesteś tym, któregobym raczej wziął za męża stanu, gdyż fortuna, pani naszego przeznaczenia, uczyniła pana sławnym, bogatym i pięknym.

„Nie napisał pan nic więcej, prócz kilku stron wierszy, i miały one na celu schlebiać despotyzmowi, odwdzięczającemu się za to stanowiskami i złotem. Lecz jako Akademik jest pan zbyt dumny ze swej nicości bym mógł odpowiedzieć krytykami. Gdziebym je wziął? Nicość nie ma rywala i krytyka nie może jej dosięgnąć. Wobec tego jestem zmuszony milczeć."

Jules Bertaut.
„Marianne".

Trzy premjery warszawskie

AWANTURA O ŚWINIĘ

Teatr Polski. „Awantura o Jolantę". Komedja w 3-ch aktach A. Hinrichsa. Przekład J. Kossowskiego. Reżyserował J. Warnecki.

DEZORJENTUJĄCA SZTUKA.

Niemiecki utwór, napisany w chwili obecnej, staje się, czy chce czy nie chce, aktem niemal politycznym, społecznym! Sztuka rodem z hitlerowskich Niemiec — tak samo zresztą, jak z sowieckiej Rosji — jest dla nas przedewszystkiem dokumentem obyczajowym; szukamy w niej śladów wielkich przemian, szukamy sekretów nowego ustroju, wszędzie — nawet w zakręconym ogonku Jolanty.

Pod tym względem sztuka Hinrichsa dezorjentuje nas trochę. To dobrotliwie potraktowane sobkostwo wiejskiego „kułaka", ta jego nienawiść do idei państwa, o ile to państwo żąda odeń najmniejszej ofiary, te jawne drwiny z władzy (nawet umundurowanej!), to bezkarne oszukiwanie skarbu z aprobatą i wspólnictwem całej wsi, czy to jest obrazek, wzięty z dzisiejszych Niemiec? Czy może raczej autor chciał pokazać owo „wczoraj", którego nowe rygory nie zdołały jeszcze zlikwidować, którego nowy entuzjazm nie zdołał jeszcze przetopić w swoim ogniu? Ale i owo „wczoraj" byłoby dla nas niespodzianką! A może poprostu... może lepiej brać farsę jako farsę i dać pokój doszukiwaniu się ideologji „Jolanty"?

Boy-Żeleński,
I. K. C., Kraków.

PROTEST I PRZESTROGA.

Znakomita obsada i świetna reżyserja — oto dwa czynniki, mogące ratować i wspierać powodzenie tej prostej, nieskomplikowanej, wieśniaczej i zgoła gminnej komedji.

Treść jest satyrą na skrajny nacisk śruby podatkowej, rujnującej gospodarstwa wiejskie, a jednocześnie wesołym pamfletem politycznym, skierowanym przeciw nadmiernemu wszędobylstwu policji, przeciw jej dokuczliwemu wdzierstwu w zacisza spraw prywatnych i osobistych. Można tedy powiedzieć, że komedja Hinrichsa jest i protestem i przestrogą. Jest protestem przeciw gospodarczej polityce zubożenia, przestrogą zaś pod adresem państwa, opierającego swój stosunek do obywateli na przymusie i wywiadzie policyjnym. Wymowa tych zawartych w sztuce teatralnej tendencyj jest tembardziej znamienna, że sztuka ta przyszła do nas z zagranicy, z niemieckiego zachodu, że więc odruchy buntu przeciw „totalnemu" pojęciu państwa rodzą się tam, skąd wyszła jego apoteoza. Gdy obywatel chce wyśmiać system policyjny, to zawsze zaczyna od tego, że obnaża jego bezskuteczność. Gdy chce rozbroić grozę teroru, zaczyna od wykazania, że poza terorem stoi niedołęstwo i pustka myśli. Tak samo czynią i obywatele, uwikłani w „Awanturę o Jolantę". Zbrodnia, o którą oskarża ich żandarm, okazuje się fikcją, a uszczerbek skarbowy, będący powodem policyjnego ścigania chłopów, uchylony i wynagrodzony zostaje nie wskutek gorliwych popisów służbowych miejscowej władzy policyjnej, ale dzięki aktywnemu poczuciu powinności obywatelskiej w sumieniu młodej dziewczyny chłopskiej.

W. Rzymowski,
„Kurjer Poranny", Warszawa.

BRECHTA

Naprózno szukałby ktoś jakichś jaśniejszych momentów w tej „brechcie". „Awantura o Jolantę" jest raz przeciętnością. Jestto typowy produkt wyjątkowo przeciętnej ery teatru niemieckiego doby obecnej, który nie może jakoś powrócić do swojej dawnej (znowu nie tak dawnej) świetności. Zmieniona aura polityczna nie służy narazie kulturze teatralnej. Już tak jest w życiu: trudno i polityce i sztuce odrazu dogodzić. Może sczasem to się ułoży i ucukruje... Narazie jest kiepsko. Więcej: źle.

Poco to wystawiono? Nie wiemy doprawdy, jakie względy zadecydowały o tem. Jeżeli zrobiono to przez kurtuazję polityczną, jeżeli to miał być akcent naszej przyjaźni z Niemcami, to rzecz wysoce niefortunna.

Tak czy owak — Towarzystwo krzewienia kultury teatralnej, które zrodziło się z tak pięknych koncepcyj nie może w żaden sposób uznać ostatniej premjery za jakąkolwiek pozycję w swoim dorobku.

Ostatnia premjera była niepotrzebną pozycją repertuarową. To zdecydowanie przegrana bitwa — moi panowie.

Aktorzy polscy okazali — trzeba to przyznać — dużo taktu i wyszli z tej niesmacznej sytuacji suchą nogą; a to doprawdy rzecz nie była wcale znowu taka łatwa, jeżeli się zważy współdziałanie bydła w akcji.

„Czas", Kraków.

Z PUNKTU WIDZENIA HITLEROWSKIEGO

Ta komedja o chłopskiem sobiepaństwie jest bardzo charakterystyczna dla dzisiejszych Niemiec hitlerowskich, przekształcających strukturę społeczną wsi według programu niepodzbywalnych gospodarstw wielkochłopskich ministra Daarego. Znaczna część polskich widzów komedji Hinrichsa, wychowanych na całkiem innem pojęciu „silnej władzy", niż to pojęcie, które stanowi istotę hitleryzmu, ze zdumieniem śledziło akcję „Awantury o Jolantę". Czyż jest możliwe, aby ta komedja, niemal apoteozująca walkę chłopów z władzami podatkowemi, była specjalnie wyróżniona przez dyktatorski rząd hitlerowski? Nie skonfiskowano tej „antypaństwowej" sztuczki? Naprawdę popiera się ją w kraju, który ma opinję najsroższego ucisku?

Komedja Hinrichsa jest istotnie antypaństwowa — w odniesieniu do państwa, pojętego mechanicznie.

Rzecz w tem, że dzisiejsze Niemcy chcą stworzyć inny typ państwa: typ państwa narodowego. Państwo hitlerowskie chce się oprzeć nie na mundurach „władzy", ale na masach narodowych. Te zaś masy narodowe to przedewszystkiem robotnik i chłop. Siłą narodu jest chłop a nie żandarm. Taki jest sens komedji Hinrichsa.

Stan. Piasecki „ABC" Warszawa.

SCENA Z „AWANTURY O JOLANTĘ"



Aleksander Bogusiński, Irena Eichlerówna, Bogusław Samborski, Kazimierz Kijowski, Kazimierz Justian.

SPOSÓB NA KRYZYS

Teatr Letni. „Zwyciężyłem kryzys". Lekka komedja w 3-ch aktach P. Vulpiusa. Przekład F. Tretera. Reżyserował K. Borowski. Dekoracje St. Jarockiego.

DRAMAT INTELIGENCJI W LEKKIEJ FARSIE.

Ta „lekka" komedja jest „ciężkim" dowodem, jak dalece inteligencja współczesna utraciła zaufanie do obecnych metod gospodarki społecznej.

Wolny rynek pracy! Jakże okrutnie wolność tego rynku doświadczył na sobie bohater nowej komedji, którą, dzięki Karolowi Borowskiemu, oglądać możemy, w jego doskonałej reżyserji, w Teatrze Letnim. Dr. Gustaw Wiesinger (Maszyński) po tysiąc razy na ten wolny rynek wynosił swą pracę, swe wykształcenie, swą myśl, nawet swe zdrowe, młode mięśnie: naprózno! Ustrój, w którym przyszedł na świat, odtrąca jego gotowość pracy, odmawia mu chleba, częstuje go, co najwyżej, konfiturami z herbatą, podawaną na fajfach towarzyskich w mieszczańskich, bogobojnych domach.

Aby stać się „kimś" w dzisiejszej fazie gospodarki, aby móc „czegoś" dokonać, trzeba być oszustem lub szarlatanem, jak Kreuger, a jeśli nie jest się oszustem, to trzeba przynajmniej przywdziać maskę i pozór oszustwa.

Ta komedja, będąca atakiem na gnuśny i samolubny świat oligarchji finansowej, jest jednocześnie — zapewne bez wiedzy autora — także dotkliwem prześwietleniem przesądów i fałszów, jakiemi żyje inteligencja krajów kapitalistycznych.

W. Rzymowski,
„Kurjer Poranny", Warszawa.

FILOZOFJA SPRYCIARSTWA.

Zuchwały tupet, który umie się narzucić, wciągnąć do wspólnictwa lub skompromitować tyle osób, że wkońcu w powszechnym interesie leży podtrzymanie fikcji, na której zdążyły się już spiętrzyć realne zdobycze. Coś z tej gry jest w zamachu owego bohatera, który chce „zwyciężyć kryzys".

Bo wciąż wydaje się nam, że „kryzys" ma w sobie coś z absurdu, że nadmiar produktów i równoczesny ich niedostatek, — że ogrom pracy, jaki byłby do wykonania, i równoczesny brak pracy, — że to wszystko jest jakiemś złośliwem urzeczeniem, czekającem na sprytnego genjusza lub genjalnego spryciarza, któryby znalazł magiczną formułkę, zdolną poruszyć świat z miejsca i pchnąć go na nowe tory.

Dr. Wiesinger zwyciężył kryzys, to fakt. Przynajmniej dla siebie. Autor stara się w nas wmówić, że on zwyciężył kryzys wogóle. Nie wierzmy mu. — Sprzedać kolumnę Zygmunta na placu Zamkowym, to jeszcze nie znaczy pokonać zastój handlowy.

Boy-Żeleński,
I. K. C., Kraków.

NIEFRASOBLIWA BAJKA

Utwór ten — to właśnie taka niefrasobliwa bajka o nagłem i cudownem szczęściu, opowiedziana w bardzo zabawny sposób.

Absurdem jest w niej wszystko, poza prawdziwą wesołością, rozdzieloną doskonale między trzy akty i bijącą żywem tętnem. Dobry pomysł, dobre sytuacje i dobry dowcip — oto komedjowe cnoty tego miłego bezsensu, który zaraził widownię teatru Letniego nieprzerwanym, hucznym śmiechem.

Cudo, zwane Marjuszem Maszyńskim, wystąpiło pod postacią bohatera sztuki i bawiło nas w najwymyślniejszy, najdoskonalszy, arcymistrzowski sposób, nie schodząc niemal przez cały czas ze sceny.

Fantastyczne grono rekinów bankowych stworzyli panowie Chmielewski, Łapiński, Janusz — trzech imponujących, rekordowych brzuchaczy, przy których jak wysokie westchnienie unosił się czwarty chudeusz Krzewiński.

Rozdział dla siebie stanowił Znicz, znakomity w każdym milimetrze ruchu i w każdej sylabie słowa.

K. Wierzyński,
„Gazeta Polska", Warszawa.

KULT FORTUNY

Teatr Mały. „Szczęście na poddaszu". Komedja w trzech aktach Jana de Letraz'a. Ilustracja muzyczna Al. Steinbrechera. Teksty piosenek J. Paczkowskiego. Przekład T. Trzcińskiego.

Teraz, w okresie ciężkich zmagań z objawami kryzysu, każdy marzy inaczej nieco o tem szczęściu, marzy o poprawie swojego ciężkiego zazwyczaj losu i bytu. Na tym motywie osnuta jest, grana obecnie z wielkiem powodzeniem w Teatrze Letnim, lekka komedja „Zwyciężyłem kryzys!". Ten sam motyw ożywia graną teraz w Teatrze Małym komedję „Szczęście na poddaszu". Jej bohater, architekt Andrzej, wykazuje wiele podobieństwa z bohaterem sztuki autorów węgierskich, dr. Gustawem Wiesingerem. I jego ożywia pragnienie szczęścia i zmiany losu na lepsze.

Reżyser, Teofil Trzciński, robił co mógł by dodać temu trochę anemicznemu tworowi możliwie wiele życia i dał całość pełną wdzięku. Ten wdzięk reprezentowała przedewszystkiem swoją aparycją p. J. Brochwiczówna.

„Kurjer Polski", Warszawa

LICZENIE NA CUDY.

W dwóch teatrach komedjowych wystawiono dwie sztuki, w których główny bohater, wesoły biedak, nie tracący nadziei na lepsze jutro, zdobywa swoje szczęście. W obu sztukach biedak ten posiada wykształcenie uniwersyteckie: jeden jest wiedeńskim doktorem praw, drugi architektem. Wykształcenie to nic im nie daje. Jest raczej obciążeniem. Inteligent w dzisiejszem społeczeństwie, jeżeli nie ma poparcia, jeżeli nie ma pieniędzy, staje się jednostką niepotrzebną i szuka wyjścia z sytuacji w cudach.

„Kurjer Codzienny 5 gr.", Warszawa.

Przyczyny neurastenji i jej leczenie

W olbrzymiej armji chorych pierwsze miejsce zajmują ilościowo — zwłaszcza w miastach — neurastenicy. W gruncie rzeczy jesteśmy wszyscy w pewnym stopniu neurastenikami i zdradzamy niezwykle liczne i różnorodne objawy tego cierpienia. Migreny, nagłe lub przewlekłe bóle, bezsenność, czarne nastroje, uczucie strachu bez określonych powodów, wstręt do życia — ktoby potrafił wyliczyć te wszystkie objawy, z któremi zwracają się neurastenicy do lekarzy.

Medycyna współczesna nie potrafi zwalczać neurastenji i wśród lekarzy przeważa opinja (nieoficjalna oczywiście), że neurastenji nie należy właściwie leczyć. Niemoc medycyny naprowadziła psychjatrów wiedeńskich Erbena, Dattnera i innych na myśl, że neurastenja nie należy jednak do rzędu cierpień natury psychicznej i że źródłem jej muszą być n'edomogi funkcyjne w organiźmie.

Obserwacje i doświadczenia wykazały, iż neurastenję powodują — albo conajmniej towarzyszą jej — objawy złego funkcjonowania gruczołów t. zw. wewnętrznego wydzielania. U kretynów np. rozwinięty jest bardzo słabo system kapilarny (włoskowaty), t. j. najcieńsze rozgałęzienia naczyń krwionośnych, — ten sam objaw można stwierdzić, zdaniem dr. Jenscha u ludzi z normalnym intelektem, ale zdecydowanych neurasteników. Niedorozwój systemu kapilarnego pociąga za sobą rozstrój procesu wewnętrznego oddychania, przyswajania przez krew tlenu. Stąd powstaje charakterystyczny dla neurasteników „brak powietrza", brak tchu, który wywołuje automatycznie uczucie strachu. Neurastenik czuje, że dusi się — i boi się. Przyczyna wywołująca brak tchu jest nikła i nie może doprowadzić do duszenia się, chory jednak nie zdaje sobie sprawy z tego i nie rozumie właściwego pochodzenia strachu, a jednak strach tkwi w nim.

Wykrycie przyczyn neurastenji doprowadziło do odkrycia metod leczenia tej choroby. Doktorzy Dattner i Jensch przepisywali neurastenikom preparaty jodu i wyciągu starczycy. Wyniki kuracji były znakomite. W przeważnej ilości wypadków znikały bóle głowy, znikała bezsenność, neurastenicy pozbywali się uczucia strachu i złego nastroju.

Inny znów lekarz, dr. Hahn, doszedł do wniosku, że mija się zupełnie z celem zalecanie neurastenikom obfitego odżywiania się, gdyż nadmierna ilość tłuszczu przeszkadza rozwojowi systemu kapilarnego i utrudnia procesy wewnętrznego oddychania, co sprowadza za sobą objawy neurastenji. Hahn zaleca swoim pacjentom umiarkowane odżywianie się, niekiedy zaś przepisuje menu wyłącznie jarskie, co dało doskonałe wyniki.

„Wozrożdienie", Paryż.

Nie pamięta czy oddała mu rękę

Maurice Chevalier opowiada następującą anegdotę:

Sari Maritza jest młodą artystką amerykańską, która „kręciła" w Berlinie w angielskich wersjach operetki filmowe, grając rcle Kate de Nagy. Potem wyjechała do Hollywood. W studio, gdzie pracowała, spotkała pomocnika reżysera, który poprosił ją o rękę. W jakiś czas potem, między dwojgiem młodych wywiązała się następująca, trzeba przyznać, małobanalna korespondencja:

— Droga Sari, — pisał młody człowiek, — przedstaw sobie moje zakłopotanie. Niedawno temu poprosiłem cię o rękę, mam jednak tak krótką pamięć, że nie przypominam sobie, czy odpowiedziałaś mi „tak" czy „nie".

— Mój drogi, — odpisała Sari z miejsca, — list twój wybawia mnie nareszcie z kłopotu i bardzo ci za to jestem zobowiązana. Pamiętam wprawdzie, że komuś dałam kosza, ale, o zgrozo! na śmierć zapomniałam komu!

„1934", Paris

Zerwane zaręczyny

Bogacze Stanów Zjednoczonych pozbawieni są spokoju i życia prywatnego. Gdy John Jacob Astor, trzeci potomek wielkiego rodu, wylądował w Nowym Jorku, zaatakowała go chmara reporterów. Wszyscy czytelnicy pism amerykańskich chcieli znać powód zerwania jego zaręczyn z Miss Eileen Gillespie.

— Za dużo krewnych — odpowiedział Mr. Astor. — Pomyślcie, że chcieli nam wszyscy towarzyszyć w podróży poślubnej. Zlikwidowałem więc sprawę w zarodku. Miast przybyć z żoną, jestem sam jeden.

Mr. Astor, który liczy 21 lat, a nie potrafiłby obliczyć swego majątku, przyznał, że Miss Gillespie zawsze mu się podobała, że pojednanie mogłoby nastąpić i wreszcie że ma zamiar kontynuować swe prace, przedsięwzięte w swoim domu w Newport.

Powiadomiono go o kursujących o nim plotkach miss Giellespie nosi się podobno z zamiarem wytoczenia mu procesu, by otrzymać dwa miljony dolarów tytułem odszkodowania za zerwanie zaręczyn.

— A czy zwróciła ona ten pierścień, wartości 250.000 dol., który jej podarował? — Mr. Astor przyznał, że nie znał ceny tego klejnotu rodzinnego, który obecnie znajduje się w safesach rodziny Gillespie.

Mr. Astor żywi nadzieję, że w każdym razie uzyska pierścień spowrotem. Nie traci również nadziei odzyskania narzeczonej. Lecz państwu Gillespie zależy chyba na tem, by dokonać separacji.

Pierścień stanie się więc obrączką, czy pozostanie w safesie? Porobiono już nawet zakłady.

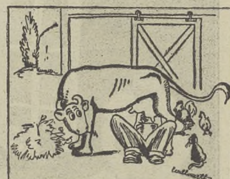
„Je suis partout", Paryż.

Iskra z palca

Angielskie pismo techniczne „Fizeman" w numerze majowym zamieszcza opis ciekawego wydarzenia w Edynburgu w jednym z tamtejszych garażów.

Szofer podczas czyszczenia karoserji samochodu przecierał ją ściereczkami mocno nasiąkniętemi benzyną, którą przechowywał w dużej skrzyni. Skutkiem silnego tarcia w dłoni szofera nagromadziło się widocznie sporo elektryczności. Dodać należy, iż szofer miał na nogach gumowe pantofle, skutkiem czego izolowany był od podłogi.

Kiedy po skończonej pracy podszedł do otwartej skrzyni z benzyną, z palca jego prawej ręki wyskoczyła iskra i od niej zapaliła się benzyna. Nastąpił wybuch. Szofer został ciężko poparzony. Pożar ugasili obecni przy tem świadkowie.



Szofer na urlopie.
College Humor, Princeton.

Redakcja: Warszawa, Niecała 3, tel. 2-33-19, czynna w poniedziałki godz. 18—19. Konto P. K. O. Chronos Nr. 14-9-46.

Administracja: Warszawa, Niecała 3, tel. 2-33-19, czynna codziennie 10—13. Prenumerata w kraju: mies. 1 zł. 60 gr., kwart. 4 zł. 80 gr.; zagranicą mies. zł., kwart. 9 zł. Ogłoszenia: za wiersze 1 mm. szerokości 1 szpalty 70 groszy, za tekstem; 90 groszy w tekście.

Redaktor odpowiedzialny: **Michał Sass.** Wydawca: **Wydawnictwo „Chronos" sp. z o. o.**

Druk. „Monolit", Warszawa, ul. Elektoralna 3, tel. 5.81-92.